

# PRZEGLĄD Lubelsko-Kresowy

Ilustrowany dwutygodnik  
poświęcony życiu społecznemu,  
kulturalnemu i gospodarczemu  
na terenie Województw: Lubel-  
skiego, Wołyńskiego i Poleskiego.

WYCHODZI 5-go i 20-go KAŻDEGO MIESIĄCA.

N<sup>o</sup> 4.

Lublin—Łuck—Równe—Brześć n.B.—Pińsk.

W lutym 1925 roku.

Rok I.

## Zaproszenie do prenumeraty.

Rozpoczynając trzeci miesiąc swej pracy wydawnictwo „Przeglądu Lubelsko-Kresowego“ zaprasza wszystkich nabywających poszczególne zeszyty „Przeglądu“ do zaprenumerowania naszego pisma.

Prenumerata miesięczna z odnośnieniem do domu lub przesyłką pocztową wynosi tylko 2 zł. miesięcznie; prenumeratę przyjmujemy także od środka miesiąca.

Pierwsze trzy zeszyty Przeglądu przyniosły

**z górą 100 ilustracji**

**oraz**

**kilkadziesiąt artykułów następujących autorów:**

Konrad Bielski, Jan Gdański, Franciszek Głowiński, Wacław Gralewski, Wacław Husarski, Por. Januszkowski, Ks. Prof. Jaworski, Teodor Kaszyński, Jerzy Korsawa, Edward Kwiatkowski, Kpt. W. Kwiatkowski, Lutnista, Por. Eugenjusz Nowosielski, Aleksander Olkiewicz, Julian Podoski, Sigma, Dr. K. Sochaniewicz, Konstanty Teleżyński, Jan Turczynowicz, Antoni Urbański, Antoni Wiatrowski, Henryk Wiercieński, Antoni Zalewski.

Adres wydawnictwa: **Lublin, Kościuszki 8, II-ie piętro, telefon 360.**

Adres dla listów: **Skrzynka pocztowa 117.**

CENA 1 ZŁ.

# Administracja „PRZEGLĄDU LUBELSKO-KRESOWEGO”

posiada jeszcze do zbycia  
niewielką ilość

**kompletów 3-ch pierwszych  
-- numerów „Przeglądu” --**

zawierających

**kilkadziesiąt artykułów i powyżej stu ilustracji.**

**Cena kompletu 3 zł.**

Na prowincję wysyłamy bez doliczenia kosztów pocztowych.

**Adres administracji: Lublin, Kościuszki 8, II-gie piętro, tel. 360.  
Adres dla listów: skrzynka pocztowa 117.**

## „ŻYCIE WOŁYNIA”

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY  
TYGODNIK LITERACKI  
SPOŁECZNY I POLITYCZNY

Najpoczytniejsze niezależne czasopismo, myśli i czynowi polskiemu poświęcone, bezwzględnie broni interesów Rzeczypospolitej na rubieży Wołyńskiej.

Skupia na swych łamach najcieńsze kresowe pióra publicystyczne i literackie.

Stały kontakt z najwybitniejszą i najpoważniejszą prasą w Polsce. Korespondenci we wszystkich większych punktach Kraju.

Bogaty dział publicystyczny i literacki.

Obfita kronika tygodniowa ze wszystkich zakątków Wołyń.

Obszerny dział ogłoszeń jest najskuteczniejszym środkiem reklamy dla wszystkich.

Warunki prenumeraty „Życia Wołyń”: Na miesiąc w Łucku 1.50 zł., poza Łuckiem 2 zł. Na kwartał w Łucku 4 zł., poza Łuckiem 4.50 zł. Na 1/2 roku w Łucku 8 zł., poza Łuckiem 8.50 zł. Cena pojedynczego Nru—30 groszy.

Adres: **Łuck, Jagiellońska 48.**

ZNANEM JEST W CAŁEJ POLSCE, ŻE NAJLEPSZYM  
INFORMATOREM Z WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

— JEST —

## „GAZETA LUDOWA”

pismo codzienne, ilustrowane, bezpartyjne, sto-  
— jące na stanowisku katolicko-narodowem. —

**NAJLEPSZY ORGAN OGŁOSZENIOWY DLA  
— PP. KUPCÓW I PRZEMYSŁOWCÓW. —**

„Gazeta Ludowa“ Polskie Zakłady Wydawnicze Sp.z.o.odp.

KATOWICE

ul. Wojewódzka 14. — Telefon 1025.

**Nerwo-słabi  
mężczyźni**

Imp. **SEX. NEURASTENJA**

Słabość bez medykamentów uleczalna  
wyczerp. broszurę

za 1 zł. w liście pol.

wysyła D. J. M.

Uchman, Gieszyn Czeski Czechosłowacja

**Ogłaszajcie się**

w „Przeglądzie Lubelsko-Kresowym”

# PRZEGLĄD Lubelsko-Kresowy

Ilustrowany dwutygodnik  
poświęcony życiu społecznemu,  
kulturalnemu i gospodarczemu  
na terenie Województw: Lubel-  
skiego, Wołyńskiego i Poleskiego.

WYCHODZI 5-go i 20-go KAŻDEGO MIESIĄCA.

Nr 4.

Lublin—Łuck—Równe—Brześć n.B.—Pińsk.  
W lutym 1925 roku.

Rok I.

## Z KOŚCIOŁA ŚW. TRÓJCY NA ZAMKU LUBELSKIM.



FRESK OBOK NISZY PO RESTAURACJI.

NINIEJSZY NUMER „PRZEGLĄDU” OTWIERAMY DWOMA PRACAMI ORAZ SZEREGIEM ZDJĘĆ Z KOŚCIOŁA ŚW. TRÓJCY NA ZAMKU LUBELSKIM.

STAROŻYTNE FRESKI I MALOWIDŁA TEJ PRASTAREJ ŚWIĄTYNI — TO BEZCENNY SKARB KULTURY ARTYSTYCZNEJ.

TUŻ POD BOKIEM TYSIĘCY LUBLINIAN SKARB TEN ŻYJE CAŁEM BOGACTWEM SWEGO NIEŚMIERTELNEGO PIĘKNA — NIEZNANY LUB NIEDOCENIONY.

NIECHAJ TEN NUMER „PRZEGLĄDU” SKRUSZY CHOĆ W CZĄSTCE MUR OBOJĘTNOŚCI, JAKI DZIELI OGÓL LUBELSKI OD GENJALNYCH TWORÓW DUCHA LUDZKIEGO, ZAKŁĘTYCH DŁONIĄ MALARZA W KSZTAŁT FRESKÓW KOŚCIOŁA ŚW. TRÓJCY.

# Kościół na Zamku w Lublinie.

Kościół świętej Trójcy jest budową kazimierzowską z drugiej połowy XIV wieku. Duża, kwadratowa nawa ze sklepieniem, dźwiganem przez jeden potężny słup, nadmiernie wydłużone presbiterjum – cechy tak bardzo charakterystyczne dla polskiego gotyku z owej epoki.

tywnymi zwornikami, jest ciemnym tłem, na którym sylwetkowo zarysowują się bizantyjskie, sześciokrzydłe głowy aniołów, gryfy i smoki.

Zebrane z całego sklepienia, subtelnie profilowane żebra zbiegają się pionowo ku ośmiokątnemu słupowi i giną, jakoby spływając w jego głąb. Każde

wytwornych, delikatnych łukach opoczywa cały ciężar sklepienia kościoła. W presbiterjum inaczej. Żebra dźwigające wparte są w ścianach boczne i umocnione na maleńkich, geometrycznych konsolkach. I tu i tam do ścian zakrywają sztywno-fałdowane zasłony, malowane w tonach ciepłych, lecz ciemnych.

Kiedy się ze stopni ołtarza spojrzysz w głąb kościoła, widzimy galerję chóru nawieszoną na ciężkich belkach nad masywną, prymitywnie zbudowaną basztą, w której kryją się kręcone schody. Wejść tam można przez niewielkie, ostrołukowe oddrzwia, obwiedzione ciemnym, posępnym ornamentem. Zewnętrzną, pękatą ścianę tej dziwnej klatki schodowej zdobi fresk na którym Jagiełło aduruje ciemnocolorną bizantyjską madonnę. Jest to malowidło odkryte przez malarza Józefa Smolińskiego, gdy jeszcze cały świat innych fresków niszczał powoli pod wapienną powłoką.

Przez szereg lat pracowano gorliwie nad restauracją fresków. Mozolnie zrabowano kitem miejsca, w których powierzchnia malowideł rozbita była uderzeniami kilofów, a następnie, stworzywszy w ten sposób jedną płaszczyznę, nasycano fresk chemikaljami, które przywracały im żywość kolorytu, utraconą w ciągu wieków. Praca szła całkiem za calem, gruntownie, bez pośpiechu. Juljusz Makarewicz, Edward Trojanowski, Janusz Świeży, Stefan Matejko trudzili się przez cały niemal czas trwania wojny, a nawet dłużej, bo do roku 1923, starając się przywrócić dawną, świetną postać splotowi wapiennemu cudom.

Na sklepieniu nie wszystkie malowidła międzyżebrowe udało się odtworzyć, również niektóre sceny na bocznych ścianach nawy musiały pozostać niekompletne. Zato presbiterjum jest odrestaurowane całkowicie. Tylko na lewej ścianie, gdzie wmurowana była kiedyś długa poprzeczna belka, pozostał pas niezamalowany. Pas ten zakrywa zupełnie zniszczone przez ową wmurowanie głowy Chrystusa i lotrów z Ukrzyżowania.

Pod tęczę, również z lewej strony, widnieje napis uszkodzony tu i owdzie, głoszący, że kościół ów malowany



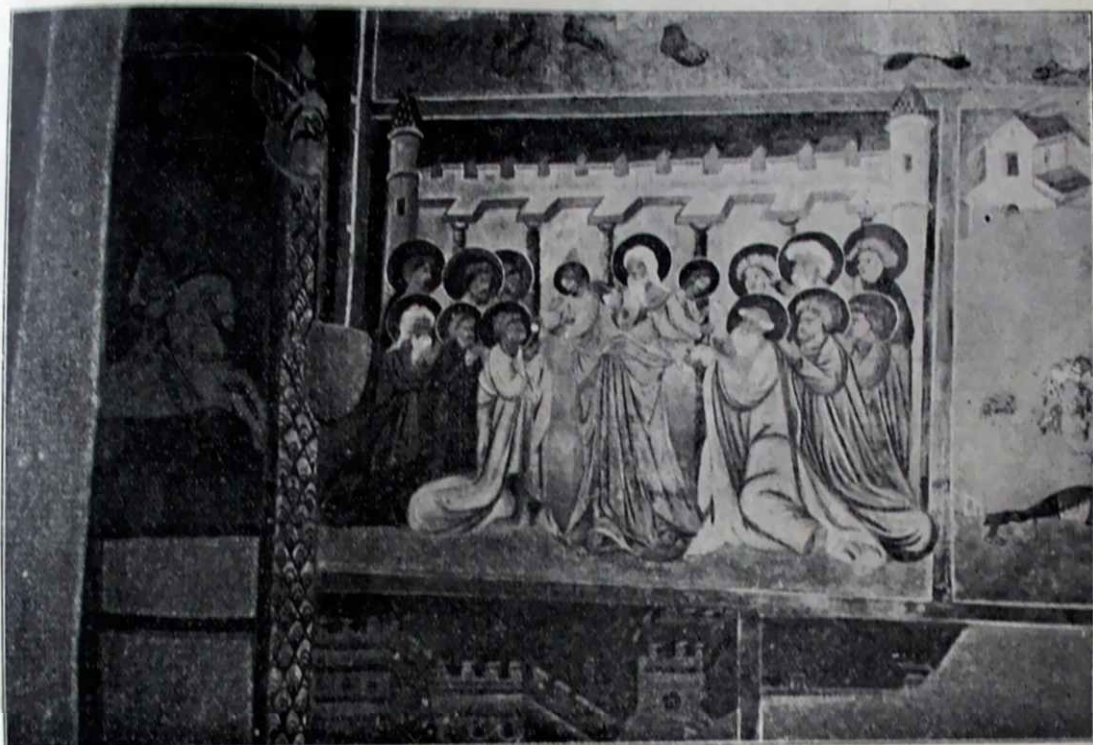
FASADA FRONTOWA KOŚCIOŁA ŚW. TRÓJCY  
na Zamku Lubelskim.

Wnętrze dość ciemne. Przez wąskie i niewielkie okna skąpo świeci dzień. Wrażenie półmroku podsycają ściany polichromowane scenami ewangelicznymi i apokryficznymi od wysokości człowieka, aż do żeber sklepionych.

Ostrołukowe przykrycie nawy, powiązane w przecięciach się żeber prymi-

jest drażone półokrągłymi i ostrymi linjami, każde malowane wielobarwnymi wstęgami. Te barwy, te świąteczne desenie byłyby nawpół martwe, rozwinęte na jakiejś płaszczyźnie! Tu zaś śpiewają poprostu, oplatając łuki i mieniąc się na nich w zagłębieniach, kanelurach i smugach. Na słupie i tych

## Z kościoła św. Trójcy na Zamku Lubelskim.



FRESK. KOMUNJA APOSTOŁÓW.

1415 r. pod kierownictwem mistrza andruszki. Mistrz ów był prawdopodobnie rusinem, na co wskazuje wnie wschodni charakter fresków. Nie są one zresztą pozbawione naleciałości z zachodu, co się da wytłumaczyć współpracą miejscowych jagiellońskich malarzy. Prócz tego, cechy wspólne — jak zwanem malarstwem nowogrodzkim — zdają się potwierdzać to przypuszczenie o pochodzeniu mistrza.

Na ścianie przeciwległej grają kolorami najpiękniejsze freski kościoła: Ostatnia Wieczerza i Chrystus karmiący lud chlebem i winem. Na pierwszym, przy stole bliższym ołtarza spoczywają apostołowie. Stół jest okrągły, nakryty suto drapowanym obrusem.

W podobne draperje i fałdy układają się białe szaty apostołów i martej, którymi są okryte ławy. W głębi naiwne perspektywy architektoniczne — widok Jerozolimy pod niebem bardzo pogodnym. Od stołu wstał i odcho-

dzi, gnany spojrzem Judasz. Małeńki, brunatny djabeł siedzi mu na karku. Ten szczegół jest bardzo charakterystyczny, bo średniowieczna ikonografia kościelna rzadko kiedy zdobywa się na odwagę przedstawienia złego ducha.

Na fresku sąsiednim grupa stojących figur: Bóg Ojciec, dwupostaciowy Chrystus i ludzie przyjmujący komunię w chlebie i winie. Zbawiciel pochylony ku prawej stronie podaje kielich, zaś jego sobowtór na lewicy łamie chleb dla wiernych.

Poszczególne freski rozgraniczone są szerokimi ciemnymi pasami. Rozczłonkowane w ten sposób powierzchnie ścian nie nużą monotonią. Urozmaicają je prócz tego cudnie ornamentowane wnętrza okien, otwory kilkorga drzwi i u góry wzorzyste żebra gotyckiego sklepienia.

Po bokach presbiterjum stoją zamiast ołtarzy bocznych dwa ciężkie

bloki muru, mensy na ciosanych z gruba stopniach. Ta pustka ołtarzy, to przedziwne opuszczenie kościoła, do którego rzadko kto zagląda, wymowniej mówią niż słowa, że tłumów nigdy tu nie było i nie będzie.

Słynieśmy przecież z tego, że nie wiemy jakie skarby są w naszym posiadaniu.



## O autorze fresków Jagiellońskich w Lublinie.

Jednym z najcenniejszych dzieł sztuki średniowiecznej, nie tylko u nas, ale rzecz można, w krajach o kulturze europejskiej, jest wnętrze kościoła św. Trójcy w Lublinie, ozdobione w roku 1415 staraniem Króla Władysława Jagiełły, malowidłami ściennymi, wykonanymi szlachetną techniką freskową. Malowidła te jak i sam kościół, zbadał dokładnie a opisywane parokrotnie zarówno w prasie lubelskiej jak

i stołecznej, wykonane ręką mistrzowską, mają zdecydowany charakter bizantyjski, jakkolwiek zdobią wnętrze gotyckiego polskiego kościoła.

To połączenie zachodu ze wschodem jest między innymi skutkiem zbliżenia się Polski do Litwy i Rusi przez wyniesienie na tron polski litewskiego księcia Jagiełły. Jego upodobania do wschodniego malarstwa ściennego wyraziły się prócz Lublina, w dekora-

jach ścian i sklepień Kaplicy św. Krzyża na Wawelu, tudzież katedry Sandomierskiej.

Odarty podczas konserwacji fresków lubelskich (1916—1923) napis literami staro-słowiańskimi, w którym wymieniona została data ukończenia fresków w dniu św. Wawrzyńca męczennika 1415 roku, tudzież imię mistrza Andrzeja, którego ręką prace ukończono były punktem wyjścia dla szeregu przypuszczeń i poszukiwań.

W związku z ukończoną w 1923 r. konserwacją fresków dokonano prób w celu ustalenia osoby ich autora. Imię Andrzej oraz data 1415, uwidocznione w napisie na łuku tęczowym oraz wybitnie bizantyjski charakter malowideł skłoniły do poszukiwań w kierunku miejscowości najbardziej zbliżonych do Polski średniowiecznej, a mieszczących ogniska kultury bizantyjskiej.

Jako takie nasuwały się wschodnio-południowe kraje: Bukowina i Rumunia, Mołdawja i Wołoszczyzna oraz bliski wschód t. j. Ruś.

Badając źródłowe dzieło profesora Wł. Podlacha „Malowidła ścienne w cerkwiach Bukowiny” dochodzi się do przekonania, że zarówno czasem najwcześniejsze z malowideł w Saint-Ille pod Suczawą, Petrowcach, Worońcu i Badowcach pochodzić mogą z końca XV w. jak i stylem nie odpowiadają one malowidłom lubelskim. Jakkolwiek ujęcie tematu w wielu wypadkach jest zbliżone do kompozycji fresków lubelskich, niektóre szczegóły jak naprz. skały traktowane są w sposób zbliżony, jednakże cały szereg nieznanych w Lublinie tematów, tudzież sposób malowania postaci, szary i twarzą odsuwa od poszukiwań w tym kierunku.

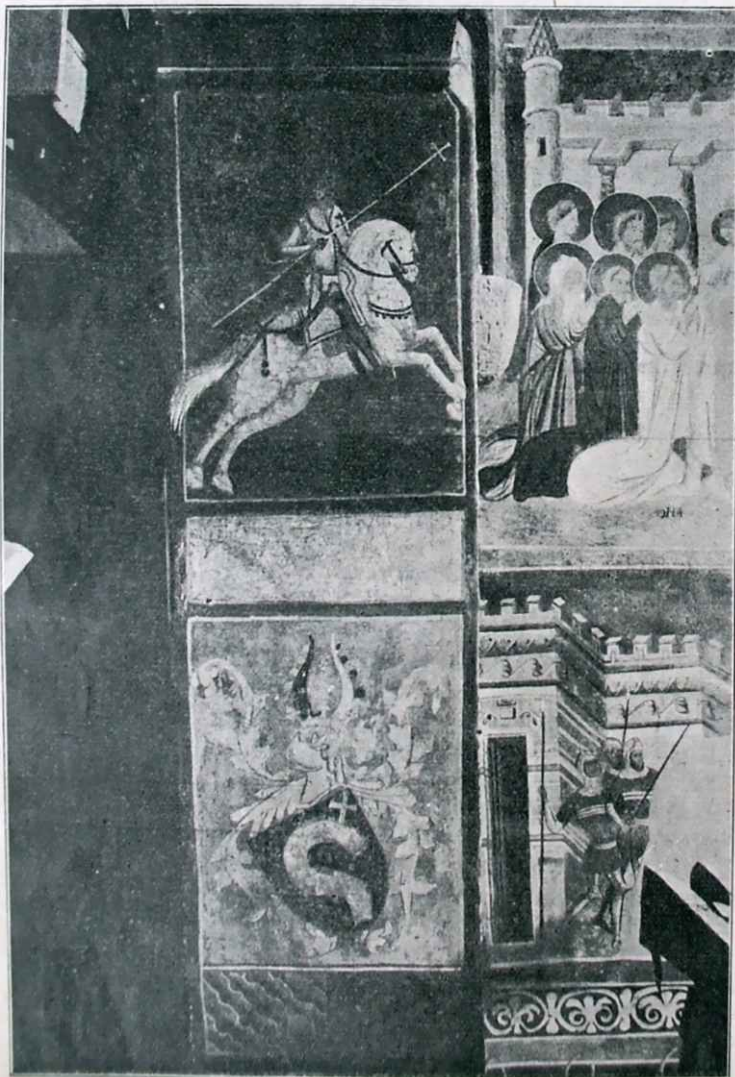
Drugim źródłem pobliskim, z którego mogli pochodzić malarze fresków lubelskich, była niewątpliwie Ruś z końca XIV i początku XV w. Ruś książąt udielnych i walk z tatarami.

W tym czasie istniała na Rusi znana szkoła malarska t. zw. szkoła nowogrodzka, wiodąca swe imię od miasta tej nazwy.

Wśród wybitnych jej przedstawicieli wybijają się na pierwszy plan Teofanes Grek i Andrzej Rublow. Ten ostatni żył w latach 1370—1430 i był wedle Józefa Wołokolamskiego uczniem niejakiego Starca Daniły, będąc bratem zakonnym niższego rektora (t. zw. „czerniec”) w monasterze Spaso-Andronjewskim w Moskwie.

Wyraźne wpływy greckie na sztukę Rublowa nie ulegają żadnej wątpli-

Z kościoła św. Trójcy na Zamku Lubelskim.



FRESKI: WŁADYSŁAW JAGIELLO NA KONIU I HERB SZRENIAWA.

wości, jak tego spodziewać się należało z jego współpracy z Grekiem Teofanem. Poza to wpływ sztuki greckiej na ówczesne malarstwo cerkiewne na Rusi stwierdzonym został przez szereg pisarzy rosyjskich doby obecnej, których bynajmniej o stronność w tym kierunku posądzać nie należy (Pokrowskij, Grabar).

Andrzej Rublow, jako najwybitniejszy przedstawiciel szkoły nowogrodzkiej, stworzył cały szereg dzieł, z których zaledwie kilka doszło do nas w stanie nieuszkodzonym przez czas lub też nieumiejętną restaurację. Z prac Rublowa ew. innych przedstawicieli szkoły nowogrodzkiej wymienia Grabar w swym pomnikowym dziele o malarstwie ruskiem i rosyjskim następujące malowidła ściennie: z 1405 r. w Moskwie w cerkwi Błagowieszczenia, malowane wspólnie z Teofanem Grekiem; we Włodzimierzu sobór Uspieński; w roku 1408 zniszczony w 1883 r. wskutek nieumiejętnej restauracji malowideł przez Sofronowa sobór Troicki w Moskwie.

Prócz tych dzieł znany jest cały szereg malowideł szkoły nowogrodzkiej, a więc:

Archanioł ze sferą w cerkwi św. Teodora Stratilatosa z r. 1370; św. Jerzy (w. XIV) t. zw. Trójca anielska w klasztorze Troicko-Sergjewskim z 1408 r.

Wjazd Chrystusa Pana do Jerozolimy w XV w.

Ukrzyżowanie w XV w.

Święty Nikoła w XV.

Ewangelista Łukasz.

Wniebowstąpienie Pańskie w XV w. Św. Paraskiewa Piatnica w XV w. Przemienienie Pańskie.

Prace te rozrzucone po ziemiach dzisiaj rosyjskich dają świadectwo istnienia w w. XIV i XV potężnej szkoły malarskiej na ziemiach ruskich, szkoły, która w tym czasie była na Rusi jedyną.

Styl wymienionych powyżej obrazów ma niewątpliwie wiele uderzająco wspólnych cech z freskami lubelskimi. Miękkosć w traktowaniu twarzy, suchość draperji, rysunek fałd, skał, architektury, poszczególne kompozycje, np. Wjazd do Jerozolimy i św. Paraskiewa Piatnica. To podobieństwo uderza szczególnie w malowidłach nawy, gdzie kompozycje nie zostały uzupełnione ani przemalowywane. Nie da się to powiedzieć o prezbiterjum i łuku tęczowym, który uległ w niektórych wypadkach nieznacznym zniekształceniom. Wynikły one podczas prac konserwatorskich w latach 1916 i 1917, wykonywanych przez profesora J. Makarewicza z ramienia Lubelskiego Koła Towarzystwa nad zabytkami. Usterki tych udało się uniknąć podczas prac późniejszych, wykonanych przez prof. E. Trojanowskiego w latach 1918 do 1923, z ramienia Depar-

tamentu Sztuki Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Wracając w dalszym ciągu do poszukiwań autorów fresków lubelskich nie można li tylko na zasadzie wspólności stylu, ujęcia tematu, zbiegu lat tudzież identyczności imienia twierdzić z całkowitą pewnością iż autorem naszych malowideł był Andrzej Rublow.

Jednakże poglądy, wyrażony przez redakcję warszawskiego kwartalnika artystycznego „Południe”, we wstępie do pracy mej o freskach lubelskich, a twierdzący, iż przymieniu Rublowa zawsze figurowało nazwisko, uważam jedynie za częściowo słuszny. Istotnie pełne imię i nazwisko z zaznaczeniem stopnia zakonnego wymienione jest w dokumentach współczesnych Rublowowi nprz. przy wskazaniu autorów malowideł w moskiewskiej cerkwi Błagowieszczenia pod rokiem 1405 „a mastiera biału Teofan Grek i czerniec Andrej Rublow”.

Nie dowodzi to bynajmniej aby mistrz Andrzej nie mógł się na pracy swej podpisać tylko imieniem.

Ważniejsze znacznie wątpliwości wywołują pewne cechy stylistyczne i kompozycyjne jak nprz. pozycja siedząca, a nie leżąca apostołów, zgrupowanych, podczas Wieczery Pańskiej około stołu, za którym siedzi Chrystus Pan. Identyczną prawie kompozycję znamy w kaplicy św. Krzyża na Wawelu.

Malowidło to również z epoki Jagiellońskiej (rok 1470) przypisywane przez Grabarja szkole nowogrodzkiej. Przy tej sposobności zwrócićby należało uwagę na przytoczone przez prof. Podlagę zdanie archidjakona Pawła z Aleppo, który z wielkiem uznaniem wyraża się o malowidłach cerkiewnych, na ziemiach dawnej Polski (rok 1648), podkreślając wpływ wywierany przez malarzy polskich na autorów cerkiewnych malowideł, których zwie kozakami. Jakkolwiek czas



Fot. Wasi'ewski.

FRAGMENT WĘTRZA KOŚCIOŁA ŚW. TRÓJCY.  
na Zamku Lubelskim.

w którym podróżował Paweł z Aleppo po ziemiach polskich jest o dwa stulecia późniejszy od czasu powstania naszych malowideł, nasuwa się na myśl analogiczne przypuszczenie, iż wobec zwykłej w tych wypadkach kolektywności pracy, miał mistrz Andrzej do pomocy uczniów, pochodzących z pośród miejscowej ludności, którym nie obce były tradycje malarstwa zachodniego, będącego już w w. XIV na wysokim poziomie artystycznym. Tak tedy mogłyby się tłumaczyć odchylenia stylistyczne o zabarwieniu zachodnim, zwracające uwagę w niektórych kompozycjach malarza Andrzeja w Lublinie.

Na zakończenie niepodobna nie przytoczyć niezmiernie ciekawych wzmianek, dotyczących stosunku króla Władysława Jagielly do malarzy ruskich. Znajdują się one w rachunkach dworu króla Władysława i jego małżonki Jadwigi z lat 1388 do 1420, zebranych i usystematyzowanych przez D-ra Franciszka Piekosińskiego, a wydanych nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie roku 1896.

Z rachunków tych wynika niewątpliwie, iż malarze polscy i ruscy sprowadzani do Polski, pracowali wspólnie przy dekoracji kościoła św. Krzy-

za „w Liseczu” — iż rusinów tych podejmował król gościnnie, co dowodzi, że cenili ich sobie wielce. Również malarze ruscy malowali cynobrem sypialnię królewską na Zamku Krakowskim, przyczem król Jegomość hojnie mistrzów-rusinów zaopatrzył, kupując farby, wazy do mieszania tychże, obdarzając kołmi i łożąc na wydatki, związane z powrotem do kraju.

Jakkolwiek wielokrotnie spotykamy się w tych dokumentach z imieniem Andrzej, Andreas Ruthenus, Andreyco Ruthenus, Andrisco, Andruscho i to w latach 1394 — 1415, jednakże przy żadnym z nich nie jest wymieniony kunszt malarza, ani też nazwisko Rubłowa.

Pomijając to, iż brak nazwiska w tym czasie jest zupełnie zrozumiałe, to przecież dokumentalnie nic dotychczas o działalności Andrzeja Rubłowa w Polsce ustalić się nie da. Pozostaje

nam jedynie, jako probierz, analiza stylistyczna, zbieg imion oraz epok życia Rubłowa i malarza fresków lubelskich, które niewątpliwie rzucają cenne światło na osobę mistrza Andrzeja, nie rozwiązują jednak problemu jego tożsamości.

Lublin, 22.1 1925.

## Od Redakcji.

Podjęliśmy wydawnictwo „Przeglądu Lubelsko-Kresowego” w tej nadziei, iż inteligencja Lublina, Województwa Lubelskiego oraz kresów otoczy wydawnictwo nasze życzliwą pomocą, przejawianą w pierwszym rzędzie w formie zasilenia „Przeglądu” pracami publicystycznymi.

O taką pomoc i współpracę zwracamy się do wszystkich działaczy społecznych, wszystkich obywateli dobrej woli, mających się stale, czy też sporadycznie pióra.

Każdy zgodny z charakterem i zakresem pracy naszego wydawnictwa, artykuł będzie serdecznie przez redakcję powitany.

Chętnie też otwierać zawsze będziemy łamy „Przeglądu” dla wszelkich zdjęć fotograficznych, ilustrujących fakty z życia społecznego, kulturalnego i gospodarczego, a dotyczących bodajby najskromniejszych zakątków wyżej wymienionych terenów.

W charakterze wskazówki technicznej dodajemy, iż chodzi nam o nadsyłanie nie klisz, lecz zwyczajnych glansowanych odbitek fotograficznych.

## Zjazd kolejowy w Lublinie.



Fot. Radzikowski, Zawadzki i S-As.

W ubiegłym miesiącu odbyła się w Lublinie konferencja dyrektorów eksploatacji wszystkich Dyrekcji Polskich Kolei Państwowych w sprawie przyspieszenia ruchu pociągów pośpiesznych, osobowych i szybszego przewozu przesyłek. Powyższa nasza fotografia przedstawia grupę uczestników tej konferencji.

7

## Salon doroczny „Zachęty“ 1924-25.

W dniu 14-go b. m. o godzinie 5-ej po południu odbędzie się w Lubelskiej Zachęcie otwarcie dorocznego warszawskiego Salonu 1924-25.  
W niniejszym numerze „Przeglądu” dajemy reprodukcje szeregu świetnych obrazów tego Salonu.



Kossak Wojciech.

AUTOPORTRET.



Kotowski Jan.

W DRODZE.

## Tajemnice lubelskich podziemi.

Tak stosunkowo mało wiemy o przeszłości naszego miasta, że każda nawet najdrobniejsza rzecz, która świadczy o przeszłej chwale Lublina i stwierdza jego miniony wielki rozkwit, powinna nas szczerze zainteresować. Pomimo tego cechuje Lublinian jakąś dziwną apatją i brak zainteresowania przeszłością miasta. Lublin posiada nieocenione dla badacza dawnych wieków skarby, które spoczywają obecnie w zapomnieniu.

Jednym z nadzwyczaj ciekawych zabytków dawnego Lublina, do obecnej chwili zupełnie niezbadanych, są lochy lubelskie.

Cała masa legend, które krążą wśród ludności miasta, a oprócz tego widoczne dowody ich istnienia (wejście do lochów w Ogrodzie Saskim, u Dominikanów i w niektórych domach na starym mieście) stanowią chyba dostateczny powód, aby się tą sprawą zainteresowały odpowiednie czynniki,

przedewszystkiem zaś istniejące Tow. Ochrony Zabytków Przeszłości.

Do tej pory jednakże jakoś o tem nie slychać.

Przed kilku laty należałem do małej „ekspedycji“, która postanowiła choć w części i to dla zaspokojenia jedynie własnej ciekawości, zbadać tajemnice podziemi Lublina.

Zaczęto od lochu, do którego wejście znajduje się w Saskim Ogrodzie, a który prowadzi według legendy do Zamku, a następnie aż do Sandomierza.

Wejście narazie bardzo trudne (trzeba iść prawie na czworakach), jednak po przejściu kilkudziesięciu metrów wchodzimy do dużej sklepionej łukowato krypty, o rozmiarze kilkunastu metrów kwadr. Stamtąd rozchodzą się w trzech przeciwnych kierunkach korytarze. Jeden z nich kieruje się w stronę łąk i jest w dalszej swej części zalany wodą podskórną, drugi idący w stronę koszar zachodnich jest w stanie zniszczenia. Pozostaje trzeci prowadzący w kierunku miasta, którym ruszyliśmy naprzód, a który sprawiał wrażenie najbardziej bezpiecznego. Po przejściu kilkunastu metrów loch zwężił się do tego stopnia, że dalsza droga była bardzo utrudniona, musieliśmy pełzać. Zawróciliśmy więc z powrotem. Krypta jako też i korytarze zbudowane z okrągłych i płaskich kamieni; gdzienigdzie trafia się również cegła. Stan lochów bardzo zły, grożący zupełnym zawaleniem.

Następnie udaliśmy się do kościoła po-Dominikańskiego, gdzie za ołtarzem miało się znajdować wejście do podziemi.

Zakrystjan wskazał nam schody, wiodące do wielkiej piwnicy, tuż pod głównym ołtarzem, lecz ku naszemu rozczarowaniu loch, który tam miał się zaczynać, był świeżo zamurowany. Zapytany o powody zamurowania lochu zakrystjan odpowiedział, że nastąpiło wskutek dokuczliwości „strachów“, które miały jakoby wyprawić szalone harce.

Próbując szczęścia udaliśmy się do gmachu po-Dominikańskiego, gdzie Siostry Szarytki łaskawie pozwoliły nam zbadać piwnice.

Tam to nareszcie znaleźliśmy pewne zadowolenie swych zawiedzionych nadziei.

Po wejściu do korytarza piwnicznego, który służył za skład przeróżnych rupieci, zauważyliśmy, opukując ściany, głuchy oddźwięk pod naszymi stopami. Zaczęliśmy podważać płyty kamienne tworzące podłogę; po wyjęciu kilku z nich ukazała się czarna czelusć jakiegoś lochu.

Z dorocznego Salonu Zachęty 1924-25.



Grabowski Adam.

WILANÓW II.

Po zbadaniu głębokości lochu zeszliliśmy, a raczej zeskokczyliśmy do lochu.

Był to korytarz obmurowany płaskimi płytami kamiennymi w bardzo dobrym stanie. Powietrze zupełnie wystarczające i świeże. Pomaszerowaliśmy dalej. W drodze widać było w ścianach otwory prowadzące do pięter niższych; minęliśmy kilka bocznych rozgałęzień korytarza. Bojąc się zablądzić, gdyż nie mieliśmy prócz lampy karbidowej, dwóch kilofów i sznura, żadnych środków pomocniczych, szliśmy stale w prostym kierunku jednym korytarzem. Po przejściu około pół kilometra korytarz zakończył się ślepą ścianą; nad nami w sklepieniu ujrzelśmy otwór, przez który dostaliśmy się do wyższego piętra a raczej do krypty.

Któż opisze nasze zdumienie, kiedy ujrzelśmy, że ściany krypty pokryte są malowidłami dobrze zachowanymi, a przedstawiającymi Matkę Boską, świętych i aniołów. Malowidła te są w stylu bizantyjskim; ściany pod malowidłami pokryte białą a raczej szarą

od starości farbą. Widocznie była to kaplica, przeznaczenia której wytłumaczyć sobie nie mogliśmy. Kaplica ta znajduje się w podziemiach domów № 13 lub 11 na ulicy Złotej, tak przynajmniej mogliśmy w przybliżeniu określić. Wiadomość o odkryciu kaplicy była w swoim czasie zamieszczona w prasie lubelskiej, lecz nie wywarła w mieście żadnego wrażenia i nie spowodowała fachowych badań tajemniczej kaplicy.

Idąc dalej korytarzem doszliśmy do piwnic jednego z domów na ulicy Grodzkiej (numeru nie pamiętam), tam też wskutek zmęczenia wyszliśmy z podziemi. Taką była nasza wyprawa; chociaż oprócz wykrycia owej kaplicy nie przyniosła ona nadzwyczajnych wyników stwierdziła jednak istnienie i możliwość zbadania całego labiryntu podziemi.

Na zakończenie chcę podać kilka legend, odnoszących się do lochów lubelskich, które to legendy słyszałem od szeregu osób, mieszkańców Lublina i okolicznych wsi.

Według jednej z legend, pod Lublinem znajdują się lochy trzy i cztero-piętrowe (dwupiętrowe znaleźliśmy w czasie naszej wycieczki) to znaczy mające trzy kondygnacje jedna nad drugą.

W lochach tych pod przedmieściem Czwartek mieszczą się ponoć groby pierwszych założycieli Lublina, groby zbudowane ze złota i srebra. Ogromne skarby, które się tam znajdują, oczekują śmiałka zdobywcy.

Wejście do korytarza, prowadzącego do tych podziemi, znajdować się ma na placu Litewskim. Sądzą, że to powinno zainteresować prowadzących rozbiórkę cerkwi lubelskiej, gdyż są pewne dane, że zejście znajduje się w pobliżu.

Druga z legend twierdzi, że z Lublina wychodzi loch ciągnący się aż do Sandomierza i Krakowa — pewne dane potwierdzające możliwość egzystencji tego korytarza stwierdziłem bawiąc w Sandomierzu.

W roku 1919 zdarzył się w Lublinie, według opowiadań ludności, następujący wypadek. W jednym z do-

## Z dorocznego Salonu Zachęty 1924-25.



Rapacki Józef.

WIOSNA.

mów na t. zw. „Żydach“ murarz poprawiał piwnice i w jednej z nich natrafił na otwór w ścianie, prowadzący do jakiegoś korytarza. Powodowany ciekawością ruszył na poszukiwania. I zginął. Napróżno go poszukiwano. Ci którzy podążyli po pewnym czasie za nim, natrafili na taki labirynt przecinających się lochów że zawrócili, nie mogąc się odważyć na dalsze poszukiwanie. Po upływie kil-

ku tygodni żołnierze w koszarach zachodnich, kopiąc dół, natrafili na wejście do lochów, w których ku swemu zdumieniu i przerażeniu znaleźli napół rozłożone ciało owego murarza.

Z pod „Żydów“ aż do zachodnich koszar wędrował pod ziemią nieszczęsny człowiek. Co za strach i rozpacz musiały go w obłądnym szale gnać zagubionego po przez czarne i wil-

gotne podziemne korytarze. Lochy lubelskie tworzą jakby drugie miasto. Masa rozgałęzień, paropiętrowych korytarzy, izb ogromnych i pieczar — kryją w sobie te zabytki dawnych, w mgłach przeszłości pograżonych wieków.

Nikt się jednak o zbadanie tych tajemnic nie kusi, nikogo one zdają się nie obchodzić i lochy lubelskie stają się powoli pastwą czasu i zniszczenia.

## Przed inwestycjami amerykańskimi w Lublinie.



M. D. CARREL.  
Wice-prezydent firmy Ulen & Co.



HIRAM BARNEY.  
Radca firmy Ulen & Co.

Powyższe nasze fotografie wyobrażają dwu przedstawicieli firmy Ulen et Co z Nowego Jorku, który, jak wiadomo, przeprowadził w Warszawie pertraktacje i podpisał umowę z czterema miastami polskimi, a w tej liczbie i z Lublinem, na budowę rzeźni, hal targowych, wodociągów i kanalizacji.

Rady miast naszych postawiły za warunek, że Ulen i S-ka muszą wykonać studia wstępne i plany na koszt własny i przedstawić je Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i inżynierom miejskim dla aprobaty przed przystąpieniem do pracy. Ulen i S-ka będzie zawiadywała sporządzeniem planów, wykonaniem robót, a także kupnem. Inżynierowie miejscy mają natomiast prawo inspekcji i kontroli nad całą działalnością przedsiębiorcy. Wszelkie zakupy będą czynione na zasadzie wyników licytacji, a ci, którzy zaoferują najdogodniejsze warunki otrzymają

obstalunki, przyczem wyroby pochodzenia polskiego będą miały pierwszeństwo.

Ulen i S-ka przysze do Polski kilku swoich inżynierów specjalistów w wykonywaniu takich robót. Oni będą też zawiadywać przygotowaniem planów i robotami konstrukcyjnymi. Inżynierowie powyżsi w liczbie co najmniej ośmiu wezmą do pomocy polskich inżynierów i techników, robotnikami zaś będą wyłącznie Polacy.

Kontrakty wymagają wykończenia robót w ciągu lat 5. Ulen i S-ka będą się jednak starać o ukończenie robót w ciągu lat czterech, aby otrzymać przed terminem 5-cio letnim wszystkie obligacje.

Kontrakty te mają duże finansowe znaczenie dla Polski w obecnych czasach.

Większa część odnośnych sum (na Lublin wypada 2.858.000 dolarów) wypłaconą zostanie fabrykom polskim,

domom technicznym, inżynierom i robotnikom dostaną się one w ten sposób do obiegu w Polsce. Wywoła to nowe zapotrzebowanie dla polskich fabrykantów i materiałów i da zatrudnienie setkom robotników w każdym z miast.

Sumy zużyte na kanalizację, hale targowe, rzeźnie, wodociągi, nie są wydatkiem komunalnym lecz inwestycją, z której miasta ciągnąc będą dodatkowe zyski, amortyzując je stopniowo.

Przedsiębiorstwo Ulen i S-ka jest specjalistą w tym kierunku, ponieważ wykonało już około 100 kontraktów tego rodzaju w Stanach Zjednoczonych i innych państwach. Niedawno Towarzystwo to ukończyło jedną z wielkich robót, polegających na zbudowaniu tunelu, zaopatrującego w wodę Nowy Jork. Długość tego tunelu wynosi 18 mil angielskich, a koszt 12 milj. dolarów. Ulen i S-ka wybudowa-

ła kanalizacje i wodociągi w sześciu większych miastach w Ameryce Południowej i ma obecnie siedem dalszych kontraktów. Poza tem posiada kontrakt z Republiką Grecką na wybudowanie wodociągów dla Aten kosztem 10 milj. dolar. Te same Towarzystwo kończy obecnie 10 milionowy (dolar.) kontrakt na wybudowanie linii kolejo-

wej, łączącej koleje Boliwii z kolejami Argentyny.

Wszystkie te roboty są wykonywane na tych samych zasadach, jakie zostały przyjęte przez Piotrków, Częstochowę, Lublin i Radom.

Właścicielami Ulena i S-ki są: American International Corporation, Marchall Field Glore, Ward & Comp.,

specjaliści sprzedaży obligacji miejskich w całym Stanach Zjednoczonych, oraz Stone & Webster, jedna z największych firm budowlano technicznych w Stanach Zjednoczonych wreszcie Ulen Contracting Corporation, istniejąca od lat 24, a specjalizująca się w budowie wodociągów i urządzeń kanalizacyjnych.

KS. PROF. JAWORSKI.

## Szkic historyczny o Wołyniu.

(Dokończenie).

Historja Wołynia łączy się z historją wojen kozackich w dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Wojny kozackie zaczęły się, jak wiadomo, za Władysława IV, dalszy ciąg ich nastąpił za Jana Kazimierza, a zakończyły się za Jana Sobieskiego. Zapanowała ruina na Rusi, jak się wyraża Aleksander Jabłonowski, wielki znawca tego kraju, już nieżyjący. Zniszczenie więc dotknęło i Wołyń. Pomimo wielkiej ruiny, jaka dotknęła Wołyń i inne części Rusi południowo-wschodniej, pomimo zniszczenia tylu miast, miasteczek, wsi, majątków, jednak majątki wielkie względnie prędko się podniosły.

W czasie tych wojen kozackich rozegrała się pamiętna bitwa pod Bełesteczkiem na Wołyniu, gdzie Polacy odnieśli wielkie zwycięstwo nad Tatarami i kozakami w r. 1651. Po tegą Bohdana Chmielnickiego została złamana, wszelako Polacy nie wyzyskali tego zwycięstwa.

Pod Cudnowem, też na Wołyniu, Polacy odnieśli wielkie zwycięstwo nad Moskalami podczas drugiej wojny z Moskwą za Jana Kazimierza. Armja moskiewska kapitulowała. Przyczyną drugiej wojny z Moskwą za tego króla było przejście na stronę Polski kozaków pod wodzą Jana Wyhowskiego. Moskwa bowiem koniecznie chciała całą kozaczyznę ujarzmić.

Wiadomo, że w r. 1658 został zawarty układ hadziacki z kozakami, inaczej mówiąc ugoda hadziacka, na mocy której kozacy otrzymywali szeroki samorząd i powstawała unja pomiędzy Ukrainą a Polską na wzór unji Litwy z Polską. Lecz niestety układ hadziacki zapóźno został zawarty i też nie był przez Polaków wyzyskany. Okazała się tu wadliwość polityki polskiej.

Za Stanisława Augusta Poniatowskiego podczas wojny polsko-rosyjskiej w r. 1792 książę Józef Poniatowski dowodził armją ukraińską, wtedy były stoczone boje w Rosjanami pod Dubienką, Zieleńcami i Cudnowem. Wszystkie trzy bitwy na Wołyniu. Polacy w tych walkach odparli Rosjan, jednak książę Józef Ponia-

towski musiał ostatecznie się cofnąć wobec przemagających sił rosyjskich, będąc potem gotów do dalszej walki z Rosjanami. Trzeba tu nadmienić, że szlachta wołyńska pod wpływem konfederacji targowickiej nie okazywała pomocy księciu Józefowi Poniatowskiemu, wpływy bowiem targowickie ją zdemoralizowały. Zapomniała o obowiązku świętym ratowania Ojczyzny.

Rosja zabrała na mocy drugiego rozbioru Polski resztę Białorusi, Ukrainę prawobrzeżną, Podole, nadto jeszcze wschodnią część Wołynia i Polesia. Na mocy zaś trzeciego rozbioru Polski zabrała resztę Wołynia i Polesia. Według zdania Korzona Wołyń, Podole i Ukraina nie brały udziału w powstaniu kościuszkowskim, obawiając się ruchów chłopskich i jeszcze tego, że wojsko rosyjskie było w tym kraju, mianowicie w Niemirowie na Podolu, lecz potem wyruszyło pod wodzą Suworowa w kierunku Brześcia Litewskiego.

Korzon tłumaczy obojętność miejscowej szlachty demoralizacją, jaką wprowadziła konfederacja targowicka i Szczęsny Potocki, jej marszałek; autor wyraża się w ten sposób: „wypasiona bogatym chlebem żyznych prowincyj i duch Szczęsnego Potockiego unosił się nad nią”.

Kiedy rząd rosyjski organizował gubernie w zabranym kraju na Białorusi i na Rusi południowo-wschodniej szlachta polska brała udział w uroczystościach, urządzanych z tego powodu, bawiła się i cieszyła, jakby kraj polski nie był pokryty całunem żałoby, jakby Polska nie była rozdarta przez wrogów. Zwłaszcza kobiety się cieszyły i bawiły, przejawiając większe znikczemnienie ducha narodowego od mężczyzn. W ten sposób panie polskie wyrażały swe zadowolenie, że już przynajmniej skończyła się „anarchja”. Posuwały się do tego stopnia spodlenia, że układały hymny pochwalne na cześć generałów rosyjskich, jak o tem mówi Henryk Mościcki. Duchowieństwo też brało udział w obchodach powyższych i również splamiło siebie brakiem poczucia godności narodowej.

Dalej omawiając dzieje Wołynia zaznaczam, że ten kraj, jak również Podole i Ukraina brały udział w powstaniu listopadowym. Z Wołynia odznaczył się Różycki, który przedostał się do b. Kongresówki, znosząc na drodze słabsze oddziały wojska rosyjskiego. W czasie tego powstania zaszła, jak wiadomo, bitwa pod Boremlem pomiędzy Polakami i Rosjanami. Generał Dwernicki stał na czele wojska polskiego i tu się odznaczył, lecz musiał ostatecznie się cofnąć wobec przemagających sił rosyjskich.

Wołyń brał udział w powstaniu styczniowym r. 1863, lecz słaby. Tu również figuruje Polak tego samego nazwiska, mian. Edmund Różycki.

Cofnąwszy się na chwilę do pierwszego rozbioru Polski, nadmieniam, że kiedy Austria na mocy tego rozbioru zabrała Ruś Czerwoną ze Lwowem, to kontrakty, które dotychczas odbywały się w tem mieście zostały przeniesione do Dubna na Wołyniu, co oczywiście bardziej ożywiło to miasto i cały ten kraj.



# SERCE POLSKOŚCI NA KRESACH.

(Boy-Żeleński o Łucku).

W „Kurjerze Porannym” ukazał się niedawno feljeton Boy'a Żeleńskiego, w którym to feljetonie znakomity tłumacz, krytyk i literat z właściwą sobie barwnością stylu kreśli swe wrażenia z Łucka.

Oto najciekawsze urywki z feljetonu Boy'a:

...Sercem polskości, bijącym na tym odcinku naszych kresów, jest Łuck. I istotnie, serce to musi bić silnie, aby pokonać dość oplakane zewnętrzne warunki. Położony na uboczu głównej linii kolejowej, Łuck, mimo iż miasto wojewódzkie, jest dosłownie zabity deskami. Gdyby mu dać upragnione połączenie kolejowe, znalazłby się o cztery godziny od Lwowa, zamiast obecnych jedenastu. Mniejszy i uboższy od Równego, patrzy na to plutokratyczno-przemysłnicze miasteczko z arystokratyczną wyższością. Mieszkańcy Łucka odznaczają się wybitnym patriotyzmem lokalnym w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa. Wielu działaczy tutejszych, to kresowcy z tego typu, który przed wojną był w Europie, w Paryżu zwłaszcza jak u siebie w domu: obecnie pielęgnują w sobie troskliwość tę europejskość, ale — w Łucku. Zawzięli się, aby walczyć o tę placówkę i prowadzą tę walkę z wytrwałością i poprawnością sportowca.

Burmistrz i Teatr,—to są dwie rzeczy, o których się wiele słyszy natychmiast po przyjeździe: zresztą te dwie rzeczy ściśle się wiążą z sobą. Burmistrz Łucka, tegi chłop, jak każdy tu o nim mówi, jest Sanoczanin z urodzenia, a Amerykanin z wychowania. Jest twórcą pierwszego polskiego teatru w Detroit w Ameryce. Tę teatralną pasję przeniósł i do Łucka.

Gdziekolwiek się jest na kresach, natychmiast uderza ogromna doniosłość teatru dla sprawy polskości. Jest to jeden z najdzielniejszych środków propagandy; zarazem widomy znak, sztandar, koło którego skupia się całe życie duchowe. Na kresach wschodnich, sprawa teatru polskiego jest szczególnie doniosłą, przez to że ciągle tam działają teatry rosyjskie objazdowe, nieraz pierwszorzędne, złożone z rozbitków trupy Stanisławskiego.

Stworzyć polski miejski teatr w mieście gdzie Polacy stanowią niewątpliwą mniejszość liczebną, to była sprawa dosyć delikatna. I burmistrz, pan Zieliński, przeprowadził ją gładko. Dał miastu najpierw bruki, most na Styrcie, trzy studnie artezyjskie, kawałek linii kolejowej, — i teatr na dołkadek. I przelknęli teatr bez opozycji. I powstał polski teatr pierwszy jaki kiedykolwiek istniał na Wołyniu.

i nie w bogatym Równem (to każdy prawy Łucczanin z satysfakcją podkreśla), ale właśnie w Łucku i działa nie tylko w Łucku, ale stale co tydzień robi wycieczki do Równego i do Kowla. Nie robi na tych wycieczkach świetnego interesu, ale — niech znajdy pana!

Cóż za praca, cóż za wysiłek! Obok tych objazdów, jedna czasem dwie premjery na tydzień: na przyszły tydzień np. zapowiada dwie premjery: we środę „Aszantka”, w sobotę „To co najważniejsze”. A najbliższą premjera to „Ruchome piaski” Chojnowskiego, przyczem widnieją na afiszu te słowa, pisane, czuć to, z uczuciem słusznej dumy: „niegrane dotychczas na żadnej scenie”.

Na afiszu wiele znajomych nazwisk, dyrektor Ordon, dalej Melina i Pietruszyński z krakowskiej Bagateli i in. Ale duszą teatru jest sam burmistrz; siedzi na próbach, interesuje się wszystkim, stara się o wszystko. To też rezultaty są nadzwyczajne. Na inaugurację teatru wystawiono „Mazepę” w kostjumach użytych przez lwowski teatr miejski, i powtórzono go sześć razy! Skąd ta publiczność, która wypełniła w Łucku sześć razy teatr na utworze polskiego poety? Objasnią to dwie autentyczne anegdoty.

Burmistrz widzi znajomego żyda, który już po raz trzeci jest w teatrze na „Mazepie”. Zaintrygowany pyta go, czem to tłumaczyć, co jego właściwie w tym utworze może tak interesować?

— Wie pan prezydent co? odpowiada starozakonny: to, czego ja nie rozumiem. Ten człowiek, co się daje zamurować dla kobiety... to dla nas, żydów, coś nowego, my tego nie znamy”. A oto drugi przykład wrażliwości tego dziewczęcego gruntu, na który pada słowo ze sceny. W chwili, gdy wojewodzina Amel'a siedzi w więzi, umęczona i bezradna, żydówka jakaś, przejęta do ostatnich granic, chwytając za ramię swego sąsiada Polaka i woła w żargonie: „Dlaczego ona sobie nie wzięła adwokata?!“

Co się tyczy miejscowej ludności, i ta, jak twierdzą moi informatorowie, nie żywi do Polaków specjalnej nienawiści. Pragnie widomych pozytywnych rezultatów, pragnie rzeczowej i konsekwentnej administracji. Przez kilka lat polskich rządów nagrzeszono w tym kierunku wiele, ale od jakiegoś roku czy dwóch Łuck działał, jak mówią, prawdziwe cuda.

Wśród tej gawędy o teatrze, o tem i owem, raz po raz przewija się motyw, który przypomina mi gdzieś jęstejszy. Autentyczne historie, bramię

## Nowa placówka finansowa w Lublinie.



W Lublinie organizuje się i w najbliższym czasie zostanie uruchomiona nowa placówka finansowa: Spółdzielczy Bank Rolniczy.  
Nasza powyższa fotografia przedstawia grupę założycieli nowego banku.  
Siedzą pp. Jan Mordell, Stanisław Zieliński, Michał Karpiński, prez. Aleksander Olkiewicz i Stanisław Sawicki.  
Stoją pp. Jan Opaliński, Andrzej Zieliński, Szczepan Kozak, Józef Staszewski, Ludwik Mazurek i Józef Staszewski (junior).

ce jak jakiś ustęp z czytanych w dzieciństwie powieści z życia osadników w puszczech. Zuchwałe napańskie bandyckie, przebieganie się, tropienie, życie po dworach wciąż z ręką na cynglu... Opowiadają mi, iż w czasie kiedy tropiono jednego z najsłynniejszych bandytów, który wkrótce potem zginął w potyczce, żona jego zgłosiła się o paszport na Riwierę dla poratowania zdrowia... To znów zatrzymuje się opowiadanie na jakiejś bolesnej karcie martyrologii polskiej: dzieci polskie przekradające się wśród tysiącznych niebezpieczeństw z za kordonu do Polski, gdzie je czeka najpierw nieodzowne internowanie w areszcie, a potem — potem, to najtragiczniejsze, niewiadomo co z nimi począć, kto się nimi ma zaopiekować, zająć...

Ale w rozmowach, jakie słyszę w Łucku, przeważa ton wiary, optymizmu, tężyny. A prowadzi się te

rozmowy w czystym, wesołym i doskonale zagospodarowanym „Domu stowarzyszeń polskich“, gdzie nawiasem mówiąc, były pułkownik rosyjski trzyma pierwszorzędną „bufet“. Ten Dom polski, jak go dla krótkości nazywają, to też sielanka w swoim rodzaju: mieści się w nim 11 stowarzyszeń polskich w najlepszej zgodzie, bez żadnych antagonizmów uprzykrzonej „Prawicy i Lewicy“. Sokół posiada, dla oszczędności miejsca, wspólny pokój ze Strzelcem! Organizuje się klub wioślarzy, istnieje już klub szermierzy. Karty wygnane. Tworzy się bibliotekę. Co krok to jakaś sielanka: Młoda panna, która przed paru laty piechotą przekradła się tu z Żytomierza, opowiada mi, że do niedawna jeszcze żył w Łucku stary ociemniały lekarz, któremu ona umiała kalectwo w ten sposób, że na jego żądanie uczyła go na pamięć „Słówek“... Były pułkownik rosyjski wita mnie strzeli-

stym komplementem, oświadczając że „Flirt z Melpomeną“ jest jego ulubioną lekturą! Czy nie sielanka? Niech jeszcze wszyscy zaczną czytać Balzaka, a sprawa kresów wschodnich będzie prawie że rozwiązana.

Wieczorem dancing w Domu polskim. Trójka żydów gra shimmy, kilka par nówek uwija się po lśniacej posadzce, pokazując nieskazitelne jedwabne pończoszki...

Moment liryzmu: „Frasquita“. Wszystkie oczy stają się sentymentalne. „O dziewiątej minut pięć...“ intonuje ślicznym półgłosem sąsiadka moja, owa uciekinierka z Żytomierza. — „Gdy masz tylko szczerą chęć...“ podejmuje z drugiego końca sali męski baryton rosyjskiego ex-pułkownika. — „Przyjdź w najbliższym dniu...“ wyciąga żydek muzykant na skrzypcach. Sielanka.

A „bandy dywersyjne“? Et, gazeciarskie wymyśli!

ST. P.

## MIASTA NA KRESACH WSCHODNICH.

Obszar Ziem Wschodnich, złączony z Rzeczpospolitą Polską z mocy umowy o preliminarjnym pokoju i rozjemie, podpisanej przez Polskę i Rosję w Rydze w dniu 12 października 1920 r., względnie z mocy uchwały Sejmu Ustawodawczego z dnia 24 marca 1922 r., stanowi obecnie województwo: nowogródzkie, poleskie, wołyńskie, Ziemię Wileńską i powiaty: grodzieński oraz wołkowyski, należące do województwa białostockiego.

Na całym tym obszarze jest położonych 66 miast. Z tego przypada na województwo: nowogródzkie — 9 miast, poleskie — 17, wołyńskie — 20, na Ziemię Wileńską — 13 i wreszcie na wspomniane wyżej dwa powiaty przypada 7 gmin miejskich.

Pierwsze miejsce wśród naszych miast kresowych zajmuje drogic polskiemu sercu Wilno.

Do większych miast poza Wilnem należą na Kresach: Grodno (województwo białostockie), Brześć n/B (województwo poleskie), Kowel, Łuck i Równe (województwo wołyńskie). Wszystkie one, jako mające ponad 25.000 mieszkańców, są wydzielone z powiatowego związku komunalnego, t. zn., że pod względem samorządowym miasta te stanowią samodzielnie jednostkę, równorzędną z powiatowym związkiem komunalnym.

Samorząd rosyjski, który wspomniane miasta również posiadały według ustawy z roku 1892, niestety nie przyniósł im dobrodziejstw właścicielskich roli samorządu. Nietylko te 5, ale prawie wszystkie miasta kresowe rażyły przed wojną, nawet w stosunku do miast centralnej Rosji, bardzo

niskim poziomem kul'uralnym, brakiem najelementarniejszych, nieraz urządzeń dobra publicznego. choć niektóre z nich były siedzibą władz powiatowych, gubernialnych, jak Grodno, bądź wyższych władz wojskowych, sądowych i innych, jak Brześć, Równe, Dubno, Włodzimierz.

Wojna dokonała w miastach kresowych wielkiego zniszczenia, którego nie można nawet porównywać ze stanem szkód wojennych w miastach b. Kongresówki. Czego nie wywieźli Rosjanie w czasie ewakuacji, nie zniszczyły pożary i kule armatnie, — zrabowali i zburzyli Niemcy, którzy

się tam zachowywali wjątkowo bezceremonjalnie i po barbarzyńsku. Np. w Brześciu Niemcy zatrudnili jeńców rosyjskich rozbiorą domów opuszczonych z których cegły używali do budowy dróg prowizorycznych, wiodących do wojskowych gospodarstw wiejskich (urządzonych przez ważnie w majątkach opuszczonych), bądź też wy-

wozili je wraz z innym materiałem budowlanym w głąb kraju; we Włodzimierzu Austriacy wycięli drzewa na skwerze miejskim. Przykładów tego rodzaju możnaby tu przytoczyć jeszcze wiele innych.

Poza Smorgoniem (licząc przed wojną przeszło 14.000 mieszkańców), z którego nie pozostało ani jednego domu i ani jednego mieszkańca, Brześciem n/B, zniszczonym w trzech czwartych części swej zabudowy i wydłubionym w 1915 r. do 3.000 mieszkańców z przeszło 50.000 przed wojną, najbardziej ucierpiały miasta północnej Wileńszczyzny (między innymi

Z tragicznych dni niedawno minionej przeszłości.



RUINY BRZEŚCIA n.B.  
w dniach wojennej nawałnicy.

zburzone zostało miasto Widze, które przed wojną posiadało około 8.000 mieszkańców) i całego Wołynia, gdzie wydłużenie dochodziło często do 90 — 95%.

Ruch repatracyjny rozpoczął się od roku 1918, a nawet od jesieni 1917 i choć obecnie można uważać, że jest poniekąd zakończony, jednak ani jedno z miast, nie wyłączając Wilna, nie osiągnęło dotychczas przedwojennej liczby ludności. Cały szereg miejscowości nie odzyskał po wojnie, i niewątpliwie już nie odzyska, wskutek zmienionych warunków, swego poprzedniego życia miejskiego i dziś są one miastami raczej ze wspomnień, z imienia i z tego zresztą, że posiadają ustrój miejski.

Wiele z tych miast obecnie nie liczy 2 — 3 tys. mieszkańców, a są nawet wśród nich takie, które nie mają i 1.000 mieszkańców.

W tych wszystkich miejscowościach ustrój miejski prawdopodobnie będzie skasowany, gdyż nie posiadają one oczywiście warunków do prowadzenia samodzielnej gospodarki miejskiej.

Nie będę się wdawał w szczegółową charakterystykę stanu miast zarówno wydzielonych, jak i mniejszych, gdyż nie uważam, aby było zbyt interesującym i przyjemnym odczytywanie długiego, bardzo długiego wykazu, jakich urzędów miasta kresowe nie posiadają, lub co mają w złym stanie.

Jeżeli zaś chodzi o wygląd, to z małymi wyjątkami, wszystkie one są do siebie podobne. Konkretne fakty, że np. Nowogródek, Skidel, Krynki, Indura, albo Tarny, Ratno, Różana, Szereszów, a nawet Brześć, Kowel, Łuck, czy też Równe, mają większe, lub mniejsze na ulicach dziury, że nie mają zupełnie, lub na niektórych ulicach, światła, kanalizacji, wodociągów, a niekiedy studni, nie mogą jednak charakteryzować gospodarki tych miast za czasów polskich.

Chodziłoby mi raczej o podkreślenie, gdzie i w jakim stopniu nastąpiła poprawa stosunków już za czasów własnej administracji.

Oczywiście, że miasta nie dźwigną się od razu, nie mogły zwłaszcza tego dokonać w okresie spadku marki polskiej, jednak nie uciekając się do pomocy finansowej ze strony państwa, niektóre z nich własnymi siłami zdołały w tym czasie (w okresie spadku marki polskiej) przeprowadzić, względ-

nie rozpocząć roboty inwestycyjne, nieraz nawet bardzo poważne.

Przedewszystkiem zajęto się gorliwie budową, względnie remontem budynków szkolnych, oświetleniem ulic, naprawą bruków i chodników, uporządkowaniem miejskich urządzeń sanitarnych, straży ogniowej, rzeźni, urządzeniem rynków i t. d. Zasługuje na podkreślenie działalność pod tym względem przedewszystkiem m. Łucka, który wybudował most betonowy i przebudował teatr, następnie Równego i Kowla.

Specjalne wyróżnienie należy się jednak miastu Ostrogowi na Wołyniu,

## Z tragicznych dni niedawno minionej przeszłości.



RUINY BRZEŚCIA n.B.  
w dniach wojennej nawałnicy.

liczącemu około 20.000 mieszkańców. Szybki i poprostu wspaniały postęp tego miasta daje nadzieję, że wkrótce nie tylko zagoi ono swoje rany wojenne, ale zdoła stanąć na stopie naszych miast zachodnich, do czego niewątpliwie się przyczyni połączenie miasta z linią kolejową, o co Magistrat usilnie zabiega już od dwóch lat, zobowiązując się nawet do pewnych związków z budową świadczeń i do przeprowadzenia potrzebnych studjów wstępnych. Ostrog jest jedynym miastem na Kresach, a jednym z niewielu wśród miast Kongresówki i Małopolski, które wprowadziło przymus szkolny, które działy szkolną otoczyło troskliwą opieką, dożywając ją w godzinach nauki i zorganizowało dla niej pomoc lekarską (w mieście powstał szpital dziecięcy i ambulatorjum dla przychodnich dzieci). Uznanie należy się burmistrzowi tego miasta, p. Stanisławowi Gruszczynskiemu dla jego pracy i inicjatywy. Ostrog zapewne wkrótce będzie wydzielony z powiatowego związku

komunalnego, jak i miasta Pińsk i Baranowicze, które dojrzejają (25.000 mieszkańców) do rzędu miast wydzielonych.

Nasuwa się pytanie, od czego zależeć mogą tak znaczne różnice, jakie się zaznaczają zarówno w stanie, jak i w postępie rozwoju gospodarki naszych miast nawet w jednej dzielnicy.

O różnicach tych stanowić może stopień zniszczeń wojennych w miastach, zasobność mieszkańców, wielkość majątku miejskiego, organizacja magistratów i ich aparatu finansowego, należyte wykorzystanie źródeł dochodowych, oszczędna gospodarka oraz zrozumienie przez organa samorządowe swych zadań i obowiązków wobec samorządu i państwa.

Wynika z powyższego oraz z przykładów, jakie możnaby było wskazać nie tylko na Kresach, ale i w innych dzielnicach naszych, że dobór odpowiednich ludzi na stanowiska członków zarządów miast w dużej mierze decyduje o rozwoju ich gospodarki.

Zbyteczne jest chyba podkreślanie tu znaczenia państwowego odbudowy miast kresowych, wszyscy bowiem w Polsce doskonale zdają sobie sprawę, że kwestia odbudowy wiąże się ściśle z pozyskaniem ludności tamtejszej dla Rzeczypospolitej, z uniemożliwieniem powodzenia agitacji wyrotowej wśród tej ludności, która, mając tu lepsze warunki bytu, czego się zresztą mogła spodziewać od nas, jako od państwa kulturalnego, zachodnio-europejskiego, odwróci swój wzrok od Wschodu.

Rozwój miast przyczyni się niewątpliwie do osiedlania się na Kresach rzemieślników, robotników i inteligencji polskiej z innych dzielnic, a może nawet pociągnie naszych emigrantów z Ameryki.

Z tych właśnie względów znacznie samorządu dla państwa szczególnie jaskrawo występuje na naszych Kresach i zatem państwo nie może sprawy rozwoju tego samorządu pozostawić wyłącznie jego własnym siłom.

Oczywiście, że obecnie, w okresie trwającej naprawy gospodarki państwowej, samorząd na Kresach nie może liczyć na wydatniejszą pomoc Skarbu Państwa. Natomiast już teraz dla poszczególnych związków komunalnych staje się aktualna sprawa uzyskania za pośrednictwem instytucji kredytowych zagranicznej pożyczki inwestycyjnej. „Gaz. Adm. i Pol. Państw.”

# JAK ONGIŚ U NAS SĄDZONO.

(Ze starych prawniczych dokumentów).

Miasta polskie od najdawniejszych czasów posiadały swoje własne sądy. Zmiany w organizacji władz sądowniczych miejskich w ciągu całych wieków są tak małe, że nie można ich nawet porównać do tych wielokrotnych reform, które przechodziło sądownictwo szlacheckie. Początkowo, w okresie kolonizacji niemieckiej sądy sprawowali w miastach wójtowie i ława. Niektóre tylko sprawy podlegały jurysdykcji rad miejskich. Ten stan trwał z małymi zmianami aż do wieku XVIII. Właściwa reforma miejskiego sądownictwa rozpoczyna się dopiero od czasów Konstytucji 3-go maja. Ustawa „O urządzeniu sądów miejskich i asesoryj” z roku 1791 zmienia organizację tych sądów gruntownie. Bezpośrednio przed tą reformą sądziły rady miejskie wspólnie z ławą i wójtem, aczkolwiek nie było to regular. Jak zaś sądzono—niech świadczy historia, którą opowiemy poniżej.

W dobrach ordynackich zamojskich, we wsi Krzemień żył sławny wówczas na całą okolicę złodziej, Maciej Sowa. Karjerę swą zaczął od koniokractwa. Młodym jeszcze chłopcem będąc skradł kupcom konia na gościńcu janowskim. Ale pierwsza kradzież niezbyt była fortunna. Poznano po kilku tygodniach skradzionego konia; Sowa musiał go zwrócić właścicielowi i jeszcze dopłacić. Zmusiła go do tego gromada krzemieńska. Dalsze losy Sowy są pełne na rozmaitszych przygód złodziejskich. Był dzieckiem—kradł, kradł również kiedy dorastał, a nawet po ożenku uprawiał swój nieczyny proceder. W końcu oskarżyła go gromada krzemieńska w Roku Pańskim 1777 przed sądem wójtowskim ławniczym i radzieckim miejskim w Turbinie i rozpoczął się sławny proces Sowy. Pierwsze już zeznania obwinionego na „dobrowolnych kofessatach” rzucają ciekawe światło na charakter jego procederu. Sowa nie kradł z nędzy, ale z zamiłowania, co jasno widać z zeznań składanych przezeń o swoim stanie majątkowym: „z młodu na Teyże Roli którą teraz trzymam przy Matce y Bracie mieszkałem, potym iakem się ożenił obiałem Dom y Rolą po Rodzicach y ten do tych czas miałem sposob do Życia”.

Litanja win popełnionych przez Sowę z samego pociągu do kradzieży, obejmuje kilkadziesiąt wypadków. Przytaczamy najbardziej charakterystyczne:

„... wlażłem do Komory u Popa w Branwi, y tam złapany od Popa siedziałem u Niego ze dwie Niedzieli w Dybach...” (Widocznie pokrzywdzo-

ny sam sobie wymierzył karę, nie czekając na wyroki sądowe.)

„... okradłem Komor 2 z Mikołaiem Bigosem w Godziszowie, iedne u Andrzeja Mazura drugą u Wawrzyńca Mazura... wzięliśmy ze sześć Syrow, Masła Dzieżeczkę, y Poszew z Pieczyzny... Szubkę z Futrem kobicką...” zeznaje oskarżony.

„... w Dzwoli u Wawrzyńca Jargiely wzięłem Boty nowe, Czapkę zawiąnąą przechodzoną... y u tegoż Dłodkow dwa, Uzde, Młotek y Babkę od Kosy klepania...”

„... u Michała Gajora Sadło y Płotna...”

„... w Janowie nocującym Kupcom wzięłem z Woza Cukru główek 2 Pieprzu kwart 5, Puzdro Gorzałki, Płotna wałków 2 ciężkiego...”

„... z podwód przeieżdżających... ukradłem Fuzją, te Leśni odebrali iak mię trzęśli...”

Sowa przyznawał się początkowo tylko do siedmiu kradzieży. Na drugich „kofessatach” czyli na drugim przesłuchaniu, potwierdził tylko zeznanie poprzednie. Dopiero podczas trzeciego przesłuchania, gdy mu odczytano punkt po punkcie oskarżenie gromady krzemienieckiej, do siedemnastu jeszcze kradzieży musiał się przyznać.

„Czwarty raz sprowadzony Tenże Obwiniony y chociaż Gromady Ludzie więcey w Oczy Temuż że kradłał wymawiali, lecz gdy upornie przął, Sąd ażeby Gromada stawiała Żonę Jego rozkazał, a to dla powzięcia dostateczniejszey informacyi...”

Żona Sowy, Zofja przed sądem tedy stanęła i zeznawała po kobiecemu: wszystko co o mężu akt oskarżenia mówił, potwierdziła, zaznaczając przy każdej sposobności, że udziału w kradzieżach nie brała, a użytkując rzeczy kradzione, nie wiedziała z kąd pochodzą. Wyjawiła też szereg kradzieży, o których nawet w oskarżeniu mowy nie było, gorzej, bo omal nie ściągnęła gorszych jeszcze bied na głowę mężowską. W zapale krasomówczym wspomniła przed świetnym sądem, że „...roznym Ludziom wrozył, y iak zaczęł wrozyć iuż temu będzie lat z 15...” Usłyszawszy to sąd stawia jej zdrażdzieckie pytanie: „Czyli Jakich Rzeczy lub poświęcanych lub innych nie zażywał do wrózenia?”. Otrzeźwiło to Maciejową nieco, ale broniąc męża przed temi zarzutami świętokradztwa i praktyk diabelskich, wysejła jakoś niechęć, że „...Wielkenocną y Jubileuszową nie spowiedał się spowiedzi...”

Świadkowie, sąsiedzi Macieja Sowy zeznają kolejno, „po wykonanym Juramentie”.

Łukasz Cygan, Maciej Picek, Wawrzyniec Świś wyjaśniają szczegóły niektórych kradzieży, mówią, co słyszeli od innych; wreszcie, daleki krewniak oskarżonego, niejednokrotnie przezeń okradziony, opowiada, jak mu Maciej Sowa wrózył, gdy mu konie zginęły. Sam konie ukradł, postawił je w krzakach i wywrózył, że „w chaszczu stoją niedaleko”.

W tych zeznaniach historia bujnego żywota Sowy maluje się jaskrawymi barwami. Tu kradł, tam kradł, w Komdzy kradł, to samo w Zamościu, w Dzwoli, w Krzemieniu. Karano go nieraz samosądem: chłopci wzięli go i bili, nawzajem zaś Sowa bił, gdy mu kto w drogę wszedł. W Zamościu, na sądzie wójtowskim i ławniczym w 1774 roku „wypadła sentencya, ażeby za kradzież odebrał Miotek (różę) 200 publicznie pod Pręgą...” I to nie pomogło.

Przez cały proces przewija się jak leitmotiv melodji nieustannie wiszące nad Sową niebezpieczeństwo, że go posądzą o czary i wróżby. Świadek Michał Kapron rzuca przed sąd ważne słowa: „...wiem y to, że gdy wrozy, y gdy Komu co ukradnie, a upomina się od Niego, to wielom na Zdrowiu szkodziło...” Świadek Józef Chmiel: „...wrożeniem y iakiemiś Głusami się bawił...” Sąd jednak łaskawie widać był usposobiony skoro tych zeznań nie podjął i nie wyszukał.

Proces zakończono wrokim, wydanym „w Piątek przed Świętem Niepokalanego poczęcia Najswiętszey Maryi Panny to iest dnia 5 Grudnia Roku Pańskiego Tysiąc, Siedymset, Siedymdziesiątego, Siodmego, w przytomności zacnie sławetnych Tomasza Oku iowskiego Woyta, Jana Stańczykowskiego, Szczepana Dziurzyńskiego, Woyciecha Nowickiego i Franciszka Łupińskiego Prezydentów, iakoteż sławetnych Woyciecha Kozdrojowicza Landwoyta, Franciszka Majewskiego, Jakóba Kryczyńskiego y Mikołaja Siwczynskiego Ławników miasta Turbina.”

Skazano Sowę na śmierć przez powieszenie.

W wyroku, sąd rozpatruje wszystkie okoliczności łagodzące i obciążające skazanego, podaje motywy dla których wybrał oskarżonemu karę taką a nie inną. Wśród motywów tych nielada rolę gra miłosierdzie sądu. Trochę to brzmi fantastycznie wobec wyroku śmierci, niemniej jednak w aktach sądowych napisano wyraźnie:

„...jednakowoż Sąd do Miłosierdzia nakloniwszy się, aby tyle razy wzmiankowany obwiniony Maciej Sowa przez Mistrza Sprawiedliwości publicznie pod Szubienicę był wywieziony, a na

Teyże przez Tegoż obieszony—decydując mocą Dekretu niniejszego...”

Chociaż nie mamy pewnej wiadomości czy wyrok sądu miasta Turo-

bina był wykonany, przypuszczać należy, że nic nie stało egzekucji na przeszkodzie i sławny na całą Lubelszczyznę Sowa na szubienicy żywo zakończył.

## Z ruchu wydawniczego.

# Lubelski odczyt Marszałka Piłsudskiego.

(Józef Piłsudski „W dziesiątą rocznicę powstania Legionów“. Przemówienie wygłoszone dnia 10.VIII — 24 na Zjeździe Legionistów w Lublinie. Warszawa 1924. Tow. Wydawnicze „Ignis”).



Żywo w pamięci Lublinian tkwi ten moment, gdy w pamiętne sierpniowe popołudnie ubiegłego roku w obliczu tysięcy Lublinian, zgromadzonych w teatrze „Corso“, zarysowała się sylwetka Józefa Piłsudskiego, gdy padło w tłum elektryzujące swą mocą Jego spojrzenie, gdy po ścichnięciu grzmotu oklasków i okrzyków entuzjazmu — płynąc poczęły Jego mocne, zwięzłe, urywane, jak rozkaz wojenny, słowa prelekcji o czynie legionowym.

Za murami budynku, szemrał i fałował olbrzymi tłum tych, co na salę dostać się nie mogli i czekali cierpliwie, by bodaj ujrzeć Ukochanego Wodza.

A kiedy przebrzmiała, potężnie z tysięcy piersi wyrzucona, „Pierwsza Brygada“ i kiedy od słuchaczy prelekcji poszła po mieście pełna uniesienia wieść o tym czarze, o tym uroku nieprzepartym, jaki wywiera żywe słowo Marszałka—żał ogarniał tych wszystkich, którzy na odczyt dostać się nie zdołali.

Od kilku tygodni jest w posiadaniu ogółu skromna broszurka, której tytuł powyżej zamieściliśmy.

Zawiera ona streszczenie lubelskiego odczytu Marszałka Piłsudskiego.

I chociaż w zestawieniu z potęgą żywego słowa Marszałka musiały, siłą

rzeczy, zblednąć ich szeregi rzucone w formie wierszy i kolumn na ćwiartki papieru — to jednak czyta je jednym tchem i ten, kto był słuchaczem odczytu i ten, co ma jedynie możliwość zapoznać się z jego drukowanym wydaniem.

\* \* \*

W tym, krótkim, szkicowo nakreślonym referacie Józefa Piłsudskiego o Czynie legionowym, zakrojonym jedynie na miarę historycznego rzutu oka na minione zdarzenia — uwidaczniają się w dostosowanym do ram obrazu zakresie wszystkie cechy genialnej umysłowości Komendanta Legionów: głębia i bystrość jego zdolności obserwacyjnych i analitycznych i zdolność twórczej, potężnej myślowej syntezy.

A przytem myśli rzucone w odczycie lubelskim nabierają specjalnego znaczenia i wagi dzięki temu, kto je rzucił. U kogo innego możnaby je uważać jedynie za umiejętność wysnuwania pewnych wniosków ze zdarzeń przeszłości. Dzieje czynów Józefa Piłsudskiego i Jego Legionów jasnym czynią, iż odczyt lubelski był tylko komentarzem, dorzuconym po latach dziesięciu do koncepcji, idei, planów i zamierzeń w czyn realny wcielonych przed owymi laty dziesięcioma.

\* \* \*

Barwnie skreślonym wstępem, obrazującym te przemiany, jakie w ciągu ostatnich lat dziesięciu wszyscy przeżyliśmy — rozpoczyna Marszałek Piłsudski swój referat. Pełną gorzkiej ironji i sarkazmu, ale zarazem jakżeż wierną jest charakterystyka przemian, jakie przeszły w tym okresie w Polsce różne polityczno-społeczne typy i typki.

Sprawczyńi tych przemian, wojna europejska, nie z powodu Polski i nie dla Polski prowadzona była. Ogół polski powitał wybuch tej wojny biernie. We wszystkich zaborach polski żołnierz szedł karnie do szeregów obcej armji. I rozpoczęła się straszliwa polska tragedia wzajemnej, bratobójczej walki.

Tragedję tę obrazuje autor przykładami z dobrze pamiętnych Lublinowi faktów:

„...Przemawiam w Lublinie; na niedalekich stąd polach pierwsze krwawe i mordercze boje toczono były przez Polaków z Polakami. Z jednej strony więc — austriackiej — szły ku Lublinowi korpusy I-y i X-y krakowski i przemyski, w których conajmniej 90% stanowili Polacy. Odwrotnie, z rosyjskiej strony, w obronie Lublina i jego okolic stawał XIV korpus rosyjski, z tej właśnie ziemi zmobilizowany“.....

Niosąc ze sobą niedolę i zniechęcenie dawała jednak wojna Polsce, jako teatrowi działań wojennych, także pewne beneficja, jednym z nich było to, iż walczące armje i ich rządy musiały się w pewnej mierze liczyć z prądami i dążeniami społeczeństwa polskiego oraz z jego wybitnymi, wpływowymi przedstawicielami. Na tym właśnie podłożu mógł zrodzić się Czyn legionowy.

Legiony—pisze Marszałek Piłsudski— „...dla mnie i tych, którzy ze mną poszli, były próbą rozstrzygnięcia problemu, męczącego w owe czasy wielu Polaków, podczas gdy ogromnej większości naszego narodu był najzupełniej obcy. Narody i państwa, biorące udział we wojnie, jako swoją reprezentację czynną wysłały na plac boju wodzów i żołnierzy. Wszyscy Polacy, jak to już mówiłem, pogodziwszy się z losem, wyrzekli się jej. Dali żołnierza pod obce, zaborcze znaki i godła i zwiększyli w ten sposób siłę reprezentacji obcych, zaborczych wodzów. My zaś, legioniści, rozstrzygnęliśmy tę sprawę inaczej. Daliśmy próbę reprezentowania na polu bitwy Polski, więc narodu bez państwa i rządu — tak jak to czynili inni, to znaczy przez własnych wodzów i własnych żołnierzy“.

„Próba ta została zlekceważona przez wszystkich, skazana przez wszystkich z góry na nieudanie, przez wszystkich uznana za niemożliwą do wykonania.

„Jest zupełnie obojętnem dla mnie i dla moich wywodów, jak kto o tem

sądził wtedy, czy sądzi teraz, jakie kto o mnie, czy o moich kolegach, wydawał wtedy lub wydaje teraz opinie... Jest to zawsze wszystko jedno dla historycznego faktu, że ja i legionści postąpiliśmy w te czasy, gdy potop wojny zalewać zaczął naszą ziemię, inaczej niż wszyscy Polacy. Niemie, podobna było sfalszować tego faktu, gdyż każdy z przyszłych historyków znaleźć musi dla tej chwili całe mnóstwo dokumentów historycznych w postaci rozkazów, raportów, opisów działań i czynności, zarówno moich, jak i moich kolegów z Legionów”.

Po tej tak wyrazistej, tak świetnie uchwyconej charakterystyce moralnego i politycznego znaczenia czynu legionowego Marszałek Piłsudski przechodzi do rozważań nad tem, czy próba ta się udała.

...„Armia austriacka, znając powszechne ku nam niedowierzanie, pospieszyła odrazu wykorzystać szeroką bazę uczuć, istniejącą w Polsce w stosunku do nas, by wszelkimi sposobami nas skrępować, wszelkimi metodami nas pokory uczyć i wszelkimi drogami, neglżując nas, nam władzę narzucać. A jednak już w końcu roku 1914-tego, zaledwie w trzy miesiące po rozpoczęciu przez nas tak zwanego czynu legionowego, zostaliśmy postawieni narówni z normalnymi oddziałami wojska, i też same, co innym, poruczano nam zadania. Ba, nie chcę być dumnym ani się chwalić, lecz w końcu października, po ciężkim boju, nazywanym przez nas pod Laskami, nie komu innemu, jak mnie i nam, powierzono najcięższą dla żołnierza służbę, służbę arjergardy, osłaniającej odwrót przed zwycięskim nieprzyjacielem. Po cóż negować te fakty lub je fałszować, gdy o tym szybkim awansie naszym — na równorzędnych z innymi żołnierzami — świadczy całe mnóstwo dokumentów w postaci raportów, rozkazów i relacji różnych dywizyj, korpusów i armij”.

...„Gdy teraz, po dziesięciu latach fizycznych, a pięćdziesięciu conajmniej lat moralnych, rozważam często próbę, czynioną przez nas w owe czasy, waham się w swojej konkluzji, jako historyk. Próba co do jakości żołnierza udała się niechybnie znakomicie. Udała się w tak dziwnie szybkim tempie, w tak niesłychanie krótkim czasie, że zaszczyt to przynosi wszystkim dowódcom mniejszym i większym, którzy tego dokonać potrafili. Lecz niema wątpliwości, że pod względem liczby siła naszej reprezentacji wojennej była nikłą w porównaniu z liczbą Polaków. Próba zaś siły, by zdobyć reprezentację w postaci wojska, zakończona katastrofą w 1917 r., powodzenia nie miała, zostawiając jedynie głęboki ślad ciężkiej walki naszej nie tylko w duszach legionistów,

lecz w znacznie szerszych kołach i kręgach naszego narodu”.

Dalej następują przepiękne karty odczytu, w których autor maluje rolę Legionów, jako budziela godności i dumy narodowej.

„Na ziemi polskiej tańczono olbrzymiego kontredansa, przy którym całe połacie polskiego kraju przechodziły z rąk do rąk raz po raz. Ludzie się zatracali w tem zmienianiu bezustannem jednego pana na drugiego. Co chwila trzeba było przystosowywać się do innych żądań, do innych wymagań i innych kaprysów. Bezsilność i bezradność ludzka, którą obserwowałem podczas tych kontredansów na ziemiach polskich, była tak krzycząca, że nie mogę sobie wyobrazić, by najmniej czuły na godność i honor narodowy człowiek nie odczuł głębiej poniżenia ludzkiego, które czyniło z niego jakąś istotę niższego rzędu, spychaną systematycznie do błota”.

„Z niepokojem w duszy przyglądam się temu, jak Polacy na zjawiska wojenne reagują, jak śmieszni muszą być w oczach tych, którzy znają prawo wojny — ze swoją bezradnością sądów, ze swoim pokornym przystosowaniem się do każdego żądania i każdego wymagania. Nigdy nie było jednak dla mnie wątpliwości, gdy na to patrzał, że gdzieś na dnie serc, gdzieś w ukrytych załomach duszy było uczucie głębokiego upokorzenia i jakiś stłumiony bunt przeciwko bezliśnosnemu wdeptywaniu nas w błoto coraz to innym butem żołnierskim.

Legioniści byli w tych czasach wyrazicielami tego buntu i to wyrazicielami jawnymi, walczącymi publicznie o szacunek dla tego, co polskie nosi imię. Nie chcę mówić o mojej walce, która, rozgrywana na terenie wyższych sztabów i wyższych dowództw, nie mogła być ani jawną, ani publiczną i wpływu bezpośredniego na ludzi

## Z dorocznego Salonu Zachęty 1924-25.



Górski Konstanty.

PORTRET D-RA R.



Wiśniewski.

NA STUDJACH.

wskutek tego wywierać nie mogła. Na oczach natomiast wszystkich szli legjoniści naprzód, przepychając się niedłwie łokciami, szli każdego dnia — wbrew ogólnemu codziennemu upokarzaniu się — na awantury, na małe, ale liczne utarczki z obcą zaborczą ręką w obronie swej godności jako żołnierzy polskich”.

„Ileż było starć publicznych na dworcach kolejowych, na ulicach miast, z powodu bezprawnego jakoby noszenia czy to naszych własnych oznak na mundurach, czy naszych własnych gard przy szablach, czy wreszcie, co się najczęściej zdarzało, z powodu oddawania honorów nie całą dłonią, lecz tylko dwoma palcami! Codzienną walkę, widoczną dla oczu wszystkich, toczyli legjoniści o najmniejszy drobniak, o polskie słowo komend, o głośne polskie rozmowy pomiędzy sobą w miejscach publicznych, o otwarte demonstrowanie wspólnoty swojej

z otoczeniem polskim, o jawne szanowanie polskich zwyczajów, o odwet za próby obrażania tego, co polskie. Legjoniści robili sobie z tej walki sport, przekraczający nieraz granice zwykłej przyzwoitości, szukali często sami publicznej zaczepki. Stali się przez to głośniejszymi we wszystkich urzędach, szczególnie etapowych, i znosić musieli z tego powodu całe mnóstwo szykan. Odpowiadali na nie hardo, wyszukiwali specjalnie obraźliwych słów, by wykazać swoją wzdargę dla tych ukłuc.

Walka ta nie mogła być niewidoczną dla ludzi. Nie mogła również nie dawać pewnej dozy satysfakcji zdepantanemu uczuciu honoru i dumy narodowej. I nieraz, gdy o tem myślę, przychodzę do przekonania, że ta hardość w pracy, noszącej zewnętrzne cechy pracy polskiej, była podstawą tego niezaprzeczonego faktu, że w końcu 1916 r. i do połowy 1917 r., gdy

Legjony stały postojem na ziemi ojczyźnej, miały niezaprzeczoną szeroką popularność i coś w rodzaju sentymentu dla siebie w obu okupacjach: niemieckiej i austriackiej. Osobiście odczuwałem ten stosunek zupełnie jasno i wyraźnie podczas swego pobytu w Warszawie, zakończonego aresztowaniem i wywiezieniem do Magdeburga.

Uczucia te zjawiały się wszędzie, gdzie tylko legjoniści stanęli kwatery. Szli oni tam tak jaskrawo wpoprzedz z zarządzeniem władz okupacyjnych, tak śmiało i hardo przekraczali rozmyślnie przepisy, ciężące nad całą ludnością, tyle czynili złośliwości, z tak niezrównanym humorem, wykiwali publicznie robotę austriacką i niemiecką, że do prawdy nieraz oczekiwałem, iż nastąpić musi jakieś krwawe starcie, przy którym część ludności wesprze legjonistów przeciwko władzom okupacyjnym. Odczuwali te tlejące iskry dokładnie niektórzy z legjonistów, gdy w okresie tak zwanego kryzysu przysięgowego w r. 1917 proponowali mi, jak rzecz według nich możliwą, by siłą oprzeć się wszelkim próbom narzucania nam przysięgi. Twierdził przytem, że niechybnie będą podtrzymani w tym wypadku przez wszystkich włościan okolicznych”.

W końcowych ustępach odczytu Wódz Legjonów mocno odpiera zarzut nierozwagi i „romantycznego” charakteru Legjonów.

„Jest zwyczajem nazywać grzesznie „romantycznym” tego, komu się coś nie udało. Jest zwyczajem, że by człowieka niepraktycznego, który zabłądzi choćby w trzech sosnach, który drogi żadnej znaleźć nie potrafi, mienić nie głupim, lecz „romantycznym”. „Romantyczny”, to coś w rodzaju małego, niezdarne dziecko, które siedząc na ręku matki, niepraktyczne, niepewne rączki wyciąga po jakąś błyskotkę. i ku wielkiemu swemu zdziwieniu nie ją chwytą, a na przykład kosmyk włosów matki!”

„I takim właśnie romantycznym dzieckiem mieliśmy być my, legjoniści. Jakiż to zabawny sposób krytyki świadczącej chyba tylko o głębokiej nieudolności myślenia! Czegoż chcieli legjoniści? Po co wyciągali oni nieudolne, dziecinne rączki? Chcieli dać Polsce żołnierza. Powiedzmy, chcieli błyskotki. Wyciągali jednak rączki tak zręcznie i tak umiejętnie, działały tak praktycznie, tak trafnie dobierały odpowiednich środków, że pomimo przeszkód stawianych im w tem nie tylko przez zaborców, lecz i przez „nieromantycznych” Polaków, — by błyskotkę tę mieli w ręku! Ba, dziecko nawet można więcej! Zdobęć pomimo wszelkich trudności dziedzinie wojskowej imiona, które Polska może się szczyścić.

## „REFLEKTOR“ Nr. 2.

Porównajmy tę praktyczną, umiejętną pracę Legionów z pracą ich krytyków. Z pracą tych „nieromantycznych“! Chcieli oni, siedząc na ręku matki — państw zaborczych — mieć w nieromantycznej ręce nie głupie błyskotki, lecz praktyczny kosmyk włosów matki. Czyż go mieli i mają? Czyżby więc nie czas było, zamiast wzruszać ramionami na „romantyczne“ a zatem głupie główki legionistów, pomyśleć o własnej „romantyczności“ i głupocie. Czyżby nie czas było pomyśleć o swojej nieumiejętności orjentacyjnej, która w 1914-ym r. zmusiła szanownych krytyków do błędzenia pomiędzy trzema sosnami zaborczymi, do czepiania się każdej z nich po kolei, i do tracenia często przytem dużo zdrowia moralnego“.

W zakończeniu tych uwag i cytatał pamiętnego odczytu Józefa Piłsudskiego godzi się przytoczyć jedno z najbardziej znamienitych i pięknych końcowych zdań tego odczytu.

„Być może uziębłem niektórych ze swoich słuchaczy, usuwając na bok w tej analizie pierwiastki uczuciowe. Uczyniłem to jednak rozmyslnie, gdyż nie mam zamiaru twierdzić, że my, legionisci, i ci, którzy nas kochali, mają wyłączne prawo do miłości ziemi ojczystej, lub, jak to się często mówi, do tytułu ofiarności. Polska bowiem i Polacy ponieśli podczas wojny tyle ofiar, składanych nieraz wielką goryczą w sercu, że wobec nich ogromną drobnostką były nasze ofiary legionowe, opłacane przytem wielką nagrodą, bo wewnętrzną satysfakcją“.

Za kilka dni ukaże się na półkach księgarskich drugi numer pisma literackiego „Reflektor“. Na treść numeru złożą się następujące prace: **Złoty osioł, My, Opowieść o Nowym Robinsonie** Konrada Bielskiego, **Wyznanie** Józefa Czechowicza, **Aorta** Adama Ważyka, **Zachód** Toporowskiego, **Pani Robinzon, bohaterce słynnego skandalu Szczepańskiego, Poezja** Wacława Gralewskiego, **Film intensywny a literatura** Czesława Bobrowskiego,

**Słońce i ja, Skrzynka pocztowa, Kochanka** Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, **Punkt „Wejścia“ Nowej sztuki** Stefana Kordjana Gackiego (redaktora *Almanachu Nowej Sztuki*), **Czego chce Blok?** Michała Szczuki (współredaktora *Bloku*).

Oprócz powyższego numer 2-gi „Reflektora“ zawiera obfitą kronikę literacką, sprawozdania z pism i książek, pióra Czesława Bobrowskiego.

## Katalog Salonu Zachęty Lubelskiej 1924/25.

Jak się dowiadujemy Drukarnia „Sztuka“ przystąpiła do wydania w wykwintnej szacie zewnętrznej Katalogu Salonu Zachęty Lubelskiej 1924/25.

Katalog wydany w estetycznej okładce na kredowym papierze oprócz wykazu obrazów, które od dnia 14 b. m. będzie Lublin miał możność podziwiać w Zachęcie — przyniesie dwadzieścia kilka reprodukcji obrazów mistrzów

peją, reprezentowanych w Salonie. M. i. znajdują się w katalogu reprodukcje obrazów: Adama Styki, Stanisława Żukowskiego, Wojciecha Kossaka, Józefa Rapackiego, Gustawa Pillattiego, Bronisława Kopczyńskiego, Stanisława Bagińskiego, Teodora Ziomka, Olgi Boznańskiej, Józefa Męciny Krzesza, Edwarda Okuła i innych.

## Od Administracji.

Do dzisiejszego numeru „Przeglądu Lubelsko-Kresowego“ dołączamy dla wszystkich P.P. Prenumeratorów, któ-

rzy nie opłacili prenumeraty za miesiąc luty, czek P. K. O. i prosimy o wpłacenie należności.

# PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

## TEATR — MUZYKA.

„Hrabina Marica“ ożywiła i silniejsze tchnienie wniosła na widowie teatru lubelskiego. To też ta ostatnia była w przeciwieństwie do ostatnich tygodni wypełniona prawie po brzegi. Lawirując zręcznie pomiędzy problemami ściśle operetkowymi a komediowymi reżyser (zresztą bardzo słusznie) starał się nadać tym ostatnim charakter groteskowy, chcąc w ten sposób zapewnić jednolity wygląd całości. Udało mu się to w dużej mierze mimo, iż niektórzy artyści komedjowi występujący w tej operetce starali się odseparować od głównego nurtu gry i stworzyć samodzielne o własnym zabarwieniu oderwane kreacje. Zarzut ten (będący zresztą w innych warunkach daleko posuniętą pochwałą) postawiłbym w pierwszym rzędzie p. Łozińskiemu. Kreacja jego acz sama w sobie doskonała, (dobry pomysł ujęcia i dobre wykonanie) oryginalną swą szatą groteskową, dobrą tylko w specjalnego typu komedjach,

daleko odbiegła od tła operetki, wnosząc w jej ramy cokolwiek kontrastowe zabarwienie.

Okoliczność tę być może tłumaczyć można nieumiejętnością reżysera operetkowego, przyzwyczajonego do tradycyjnie szablonowych typów i inscenizacji, zapanowania nad indywidualnością aktora komediowego. Natomiast typem doskonale zlewającym się z tłem całości operetki była p. Łaska (rola Księżnej Cudenstein).

W całości ujęcia reżyserskiego brak było podkreśleń momentów, samo przez się ekspansywnych, działających bezpośrednio na widza. Brak „zaopiekowania“ się nimi sprawił, że dały one widowni wrażenia, stanowiące li tylko martwy surogat wzruszeń artystycznych właściwych operetce. Do szeregu tych momentów zaliczyłbym w pierwszym rzędzie dyskretnie budzącą się miłość hrabiny Maricy do swego rządcy oraz scenę konfliktu spowodowaną znalezieniem listu.

Momenty te w opracowaniu reżysera stały się bezbarwne. A zarówno przesłiczne partie wokalne, jak też ogólne tło powyżej wymienionych scen mogłyby w odpowiednim ujęciu stworzyć silne artystyczne kontrasty.

Z wykonawców poszczególnych ról należy p. zedewszystkiem wymienić p. Bańkowską, która na scenie ze swej roli uczynić potrafiła ośrodek życia i ruchu. Miły, czysty timbre głosu, kolosalna naturalność ruchu i wdzięk czynią z p. Bańkowskiej pierwszorzędną zalet aktorkę.

Hrabina Marica to typ kobiety ekscentrycznej, rządzącej się prawie wyłącznie kapryсами, podejrzliwej ale przytem wszystkim bardzo pięknej. Sylwetka artystyczna takiej kobiety musi siłą rzeczy układać się po linii łamanej — kreacja musi łączyć perwersję zmienności. Warunkom tym p. Szymulka odpowiedziała w dużym stopniu, przyrodzone pewne braki wyrównując talentem gry i ujęcia.

Rolę zrujnowanego hrabiego zmuszonego ciężką pracą zarabiać na życie kreował p. Romaniszyn. Duże walory głosowe, całkowite panowanie nad gięstem i mimiką oraz celowe posługiwanie się z góry przemyślanymi efektami wszystko to złożyło się na kreację dużej wartości artystycznej.

Pan Orliński czynił duże wysiłki, chcąc zerwać z silnie w nim zakorze-

posługując się rekwizytami, stanowiącymi kilkadziesiąt lat temu kanwę wzruszeń naszych prababek.

Całość bardzo niebezpieczna dla przeciętnej indywidualności aktora, łatwo chłonącej miazmaty brukowego patosu i karczemnej sensacji. Że niebezpieczeństwo to nie jest li tylko recenzentkim straszakiem dowodem wykonanie poszczególnych ról tego dramacidla na scenie lubelskiej. I na-

wet wybitna, jak się zdaje, indywidualność reżyserska p. Mayena (coprawda naocznie o tem się nie przekonałem, opieram się zaś tylko na wersjach) nie potrafiła narzucić aktorom oryginalnej koncepcji ujęcia. Prawie wszyscy sili się na sztuczną deklamację i stawali się pseudo tragiczną ekspresją p o s z c z e g ó l n y c h scen wzbudzić na widowni grozę. Skutek, rzecz prosta, był przeciwny.

Reżyser prawdopodobnie chciał dać sztuce oprawę realistyczną, która niestety z niewiadomych przyczyn poszła po linii najniższych zwyrodniających instynktów aktorskich. Całość nie zasługuje na uwagę.

P o o b ł e d n y m „Obłędzie” teatr lubelski, pragnąc zapewne mieć bodaj chwilkę wyczaśnienia, wystawił „Wyczaśnienia Don Juana” (czytaj Don Huana nie Juana jak to wszędzie na afiszach było wydrukowane)

lekka bezmyślną komedie Wroczyńskiego. Co chciał wypowiedzieć per owe „arcydzieło” autor—trudno zgadnąć. To tylko jest pewne, że w momencie pisanania musiał mieć jakąś urazę do dam wielko i małopolskich (może sentymenta zawiedzione) chociaż i tak zwane kongresowianki w kreacji p. Popielewskiej prezentowały się nienajlepiej.

Przez trzy śmiertelnie nudne i jałowe akty ciągnie się przed oczyma widzów zawiedziony w swej miłości babiniec (przebacz płci piękna!). Kilka, zresztą zupełnie dobrych, dowcipów roztopia się w morzu westchnień, na-

rzekań, lamentów, spazmów i scen, chyba przez dziurkę od klucza w płocie małżeńskim podpatrzonych. Pustota sztuki—to tam gdzieś przez mgłę tykająca się miłość owego czterdziestoletniego (p. Łętowski), warszawskiego kasanowy do własnej żony. Tyle autok-

Rozumiem dobrze w jak trudnym położeniu znalazł się reżyser, mający na opracowanie takiego „egzemplarza” zaledwie dni kilka!

Jedynym możliwym rozwiązaniem inscenizacyjnym tej sztuki to groteska — bezpodniesiona nawet do potęgi.

Wyolbrzymienie momentów przesadnie komicznych i zręczne stosowanie mdłych scenek sentymentalnych, mających urojoną pretensję do odzwierciadlania naturalistycznego rzeczywistych sytuacji—oto szkielet koncepcji reżysera—jedynej mogącej wywrzeć na widowni dodatnie wrażenie.

I reżyseria p. Mayena, jak dawało się to z niektórych fragmentów zauważyć, poszła w tym kierunku—niestety jednak widocznie dla braku czasu nie potrafiła nadać całości wystawianej sztuki jednolitej zewnętrznej barwy.

Aktorzy, jakby niezgrani z sobą, robili wrażenie ludzi zdezorientowanych odtwarzających swe role na los szczęścia. Klasycznym przykładem powyższego był p. Łętowski, występujący w roli tytułowej. Patrząc na jego grę miałem wrażenie muru, z którego świeży tynek obłata. Ująć swą rolę w sposób groteskowy, jak tego wymagało założenie reżyserskie, nie potrafił, ale też co chwila wracając podświadomie do tej koncepcji wyzwolić się od niej całkowicie nie umiał.

Robiło to wrażenie histerycznych odruchów wzajemnie ze sobą walczących—czegoś co nie miało żadnej treści. A zresztą rola ta nie leżała w jego skali odtwórczej: kreować ją był powinienn raczej p. Łuszczewski.

Dobre ujęcie i konsekwentne przeprowadzenie swej roli dała p. Sokółowska, aczkolwiek i ona nie była wolna od pewnej dozy niezdecydowania. Najlepiej prezentująca się była rola p. Łaskiej; utrzymana przez cały czas na właściwym poziomie grotesku. Była to może jedyna kreacja bez załamania.

W roli Doktora (p. Łuszczewski) brakowało wyrazu. Anemiczna pustka.

Rzadko na scenie zjawiająca się p. Malinowska dała samo w sobie dobre realistyczne ujęcie roli, niemniej jednak na tle założeń reżyserskich stanowiące rażący kontrast, pogłębiający jeszcze bardziej panujący na scenie chaos.

I jeszcze jedno słówko o... sufferage! Człowiek ten zachowywał się halabala! w! Cóż na to Dyrekcja!



Fot. L. Hartwig.

HALINA SOKOŁOWSKA I JULIUSZ ŁUSZCZEWSKI  
w „Ostatnim pocałunku”.

nią specyficzną manierą gry. Dekoracje przypadkowe.

W świat silnych konfliktów psychicznych, ścierających się z całą bezwzględnością kontrastów uczuciowych, usiłuje wprowadzić widza Piotr Meret w dramacie swym pretensjonalnie zatytułowanym „Obłęd”. Tłem dramatu, jak z góry można się domyśleć, jest miłość — motywami mającymi sugerować widzowi tragedię — zagadnienia obowiązku, rycerskości, rasy, środowiska i t. d., i t. d.

W budowie swego dramatu idzie Meret po linii najmniejszego oporu

## Z motywów dekoracyjnych Teatru Lubelskiego w bieżącym sezonie.

Szalejący karnawał odebrał wszystkim instytucjom muzycznym i impresarjom odwagę do organizowania jakichkolwiek koncertów, artystom zaś chęć do ryzykowania chociażby tylko kosztów podróży. Skutkiem tego—chwilowy zastój na polu muzycznym, zastój, mający trwać jeszcze kilka tygodni aż do posypania głów popiołem. W okresie tym najgorszym jedynie Filharmonia daje znaki życia, ogłaszając regularnie w każdą niedzielę poranek symfoniczny z coraz to nowym programem. Po muzyce tanecznej, muzyka klasyczna z wyjątkami symfonij Haydna, Mozarta i Beethovena, po niej utwory kameralne w wykonaniu miejscowego kwartetu smyczkowego, następnie symfoniczny poranek z programem polskim i wreszcie utwory Mendelsohna (orkiestra i kwartet).

O orkiestrze filharmoniczej pisaliśmy już kilkakrotnie na tem miejscu, podnosząc zarówno jej jak i jej dyrektora zalety. Postęp, jakim radowaliśmy się dotychczas, obecnie mniej rzuca się w oczy z powodu napływu szeregu nowych osób do zespołu. Znow trzeba zgrania się, które jest pierwszym i najważniejszym warunkiem wykonania każdego orkiestralnego utworu.

Dziś poświęcić pragniemy słów kilka występom wspomnianego wyżej kwartetu muzycznego, który wypłynął nagle jako jednostka na horyzoncie lubelskiego życia muzycznego, zyskując z wolna popularność i zdobywając sobie sympatię porankowej publiczności w Filharmonji. Członków kwartetu znamy z wielokrotnych ich występów solowych w orkiestrze filharmoniczej. Są nimi pp. Rachoń (I skrzypce), Konowalski (II skrzypce), Iwanow (altówka) i L. Wroński (wiolonczela), Zespół ten pracuje od dłuższego już czasu nad sobą, lecz po pierwszych, nieśmiałych jeszcze próbach dopiero na czternastym i szesnastym poranku dał się poznać dokładnie, wykonując dwa Kwartety Mendelsohna (op. 12 Nr. 1 i Nr. 4) jeden Beethovena (op. 18 Nr. 4) i jeden Czajkowskiego (es-moll). Chcąc ogólnie określić poziom wykonania, należy dla kwalifikacji jego użyć conajmniej słowa: zadawalniająco. Solidność brzmienia osiągnięta w wysokim stopniu, subtelność wycucia w niektórych momentach

podkreślona bardzo wydatnie, techniczne opanowanie niemal zupełnie. Nie zawsze można się zgodzić z interpretacją, ten czynnik jednak w miarę dalszych studjów technicznych oraz historyczno-estetycznych zapewne ulegnie zmianie na lepsze.

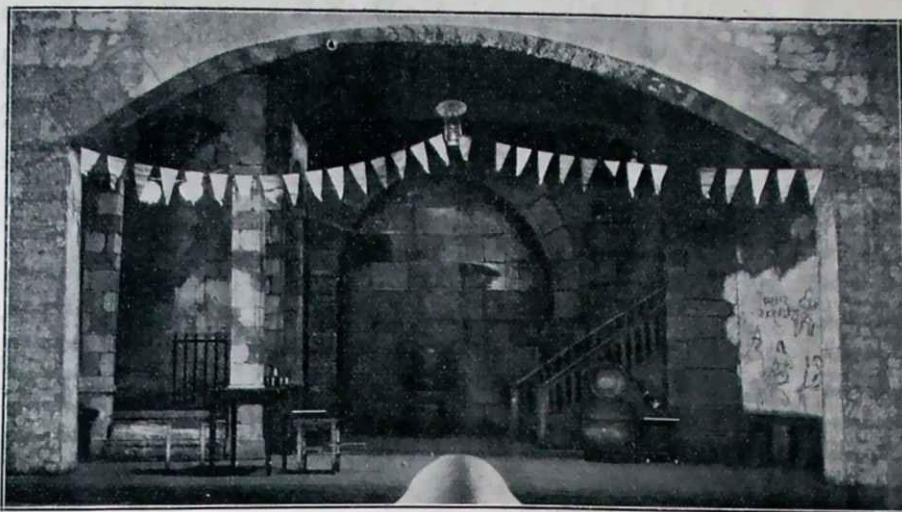
Sluchając gry tego zespołu uczuwać tylko jedną obawę: Zespół wytworzył sobie już pewien modus, według którego stara się (może nawet mimo woli) wykonywać, w repertuar wciągnięte, utwory. Modus taki jest dobry, gdy się ma do czynienia ciągle z jednym i tym samym kompozytorem a przynajmniej z jedną i tą samą epoką, niebezpieczny jest jednak w wypadku, gdy zastosowany być ma do innych indywidualności twórczych lub do innych epok. Ten modus, nazwijmy go ściślej: mendelsohnowski, sprawia, że utwory Mendelsohna kwartet najlepiej rozumie i najlepiej wykonywa. Z dwu odegranych kwartetów zwłaszcza pierwszy (op. 1) ujął audytorjum szczerością odczucia i naturalnością brzmienia; w wykonaniu drugiego (№ 4) zarzuciłbym między innymi nadto scherzowe traktowanie ostatniej części (Presto agitato), oraz zbyt mdłe podanie środkowego Andante. Mdlność ta polega na stłumieniu, a raczej na nie uwydatnieniu kontrastów kolorystycznych figur akompaniamentowych, jedyne go czynnika, ożywiającego trzecią część „kwartetu”. Natomiast z uznaniem podkreślam wykonanie Allegra rzeczywiście „assai appassionato” oraz uwydatnienie nie tylko melodyjnej ale (i to przede wszystkim) rytmicznej groteskowości Scherza.

Mendelsohn na ogół poprawny i wyciudowany. Nie można tego z czystym sumieniem powiedzieć o starszym Beethovenie i młodszym Czajkowskim. Wykonawcy podciągnęli ich pod swój mendelsohnowski szablon i na tem polega całe nieporozumienie. Beethovenowi brakło tej szlachetności i głębi, a zarazem i tej powagi prawie że ponurej czasami, i zawsze zamyślonej i nawet w najweselszych zwrotach widocznej, które są właściwe jego stylowi, Czajkowskiemu wykwinności linii i łzawej subtelności wyrazu. Przytem wszystkim zestawienie kwartetu es-moll z czwartym Lebkowitzowskim na jednym i tym samym koncercie, obydwu utrzymanych w ciemnych choć ciepłych barwach, uważam za mniej szczęśliwe.

Tak się przedstawia wewnętrzna, duchowa strona gry naszego sympatycznego zespołu. Stronie technicznej mam o wiele mniej do zarzucenia, ściślej biorąc, uważam ją za postawioną na zupełnie odpowiednim poziomie i zdradzającą wcale poważne walery artystyczne.

Per aspera ad astra! Życzymy serdecznie najmłodszemu kameralnemu zespołowi polskiemu, by w krótkim czasie stanął obok najpierwszych!

Sigma.



AKT I-szy OPERETKI „MADAME POMPADOUR”.

Fot. L. Hartwig.



## Z lubelskiego bruku.

(Pałaca kwestja: wyjazd pana Mroza i pani Zimy. — Prawdopodobnie z powodu nieśmiertelnej drożyny. — Złe i dobre strony długiej jesieni — O powodzeniach moralnych a niepowodzeniach finansowych Karnawału. — Kto jest najbardziej zajmującym człowiekiem w Lublinie? — Jak adwokat prosił adwokata o „zastępstwo”? — Psie czasy i pieskie za-kończenie o dziennikarzu, którego nawet pies porzucił.)

„Pałaca“ (że tak powiem) kwestja jest brak zimy w okresie, nazwanym „zimowym”. Nie rozwodząc się długo, nadmienię, iż w roku bieżącym pan Mróz z panią Zimą wyjechali do ciepłych krajów, nad „jasne brzegi”, albo poza ocean. Wyjechali zaś prawdopodobnie z powodu drożyny, której jakoś nikt nie umie zredukować. Pesymiści przypuszczają nawet gorszą historję. Obawiają się nieśmiertelności drożyny i wówczas, gdy cały świat się przeniesie na łono Abrahama Ona jedna pozostanie, władając ziemią. A mając już dość wzrostu cen w Polsce i zaopatrzwszy się w odpowiednią ilość złotych, Mróz i Zima spędzają sezon tam, gdzie pieprz rośnie a pomarańczę dojrzewa.

Ma to swoje złe i swoje dobre strony.

Przedewszystkiem nie zwiększa się liczba rozmaitych bałwanów ze śniegu a temsamem ogólna cyfra bałwanów, których jest poddostatkiem, albowiem sami się rodzą choćby na kamieniu i zdobywają w Rzeczypospolitej znakomitą karierę... Dalej: wskutek braku mrozu serca ludzkie nie lodowacją, szerszy się miłość, wzrasta uczucie, spada cena opału, rękóm i nogóm nie zagraża złamanie z powodu ślizgawicy, a karkóm skręcenie.

Są jeszcze inne, bardzo dodatnie następstwa nieobecności zimy. Przecież można futro ulokować w jakimś salonie sztuk pięknych, nie czekając wiosny; można (o ile ktoś odważny!) odmówić żonie sprawienia sukni i kapelusza zimowego, powołując się na dalszy ciąg jesieni, która swój gościny występ przedłużyła aż po dziś dzień — zapewne na ogólne żądanie szanownej publiczności.

A złe strony wyjazdu zimy?

Nie chcę wspominać o nich? Po cóż ocenzuwać zimę, białą jak śnieg?

Teraz należałoby wcisnąć się do kroniki karnawałowej.

Z dumą na wstępie powinno się zaznaczyć fakt istnienia karnawału. Nie opuścił nas. Nie czmychnął za granicę. Siedzi sobie wygodnie to w teatrze, to w „Filharmonji”, albo w „Corsie” i drzemie na wszystkich „prywatnych” herbatkach tańczących i po rozmaitych zakamarkach sal, gdzie bale się odbywają, a ciała ludzkie poca w śmiertelnej nudzie.

Cały szereg zabaw uleciał już do wspomnień, lecz nie mniejsza cyferka maskarad i wirujących seansów nożnych jest przed nami. I być inaczej nie może. Jak się bawić, to się bawić... Od czegoż karnawał? Ten wymarzony okres, wyśniony cud pań na wydaniu i tych, co się już wydały, ale pomimo tego szukają sposobności do nowego wydania, skromnie ukrywając swe ambicje i dreszcze wydawnicze pod firmę męża...

Gdyby ktoś usiłował prawić o powodzeniu karnawału roku 1925-go a kierował się bezstronnością, rzekłby:

— Karnawał ów osiągnął nadzwyczajne wyniki moralne, którym jednak nie odpowiadały finansowe.

I nie znawca omyliłby się. Sukcesy moralne zabaw karnawałowych są wspinałe. Tam jakieś dekoracje porżnięto nożem lub czemś innym, gdzieindziej krótkowzroczny policjant potknął się o jakąś parkę, odpoczywającą na posadzce czy podłodze... Finansowo atoli imprezy taneczne nie odpowiadają życzeniom organizatorów.

Ludziskom bowiem brak „środków obiegowych”... W tem tajemnica niepowodzeń masko-balików, jeżeli chodzi o efekty pieniężne.

Gdzie, co i jak się może udać w czasach... Proszę posłuchać.

Ktoś wskazuje sympatycznego człowieka, znanego mi na wylot. I gada:

— Widzi pan? To najbardziej zajmujący człowiek!

— Zajmujący? Dlaczego?

— Bo najwięcej zajmuje... Jest pomocnikiem komornika...

O, tak. Podobny pan rzeczywiście jest bardzo i czynnie zajmujący. To postrach i pogrom na sekcję „protestantów”, o której wspominałem w numerze poprzednim.

Więc: gdzie, co i jak się może udać w takich zajmujących czasach? Podczas których raj się wytwarza dla reagenta i adwokatów. Jednakowoż i adwokaci uskarżają się na zajmujące czasy, nie wymieniając już mego obrońcy, gdyż ten nie widział odemnie dotychczas ani grosza za serję spraw i w dodatku jeszcze nieraz musi zapłacić kolację za „szanownego” klienta...

Przed kilkoma dniami byłem w sądzie i siedziałem w pokoju obrońców.

Przychodzi pan mecenas X. witając się z obecnymi.

— Słuchaj, kochany!—mówi adwokat Z. do X-a.—Czy nie byłbyś tak łaskaw zastąpić mnie w pewnej sprawie?

— A kiedy?

— Jutro.

— Wiesz, to możliwe. Jutro bowiem będę miał trochę czasu. Gdzie twoja sprawa?

— W urzędzie skarbowym. Zapłacisz za mnie podatek, bo nie mam pieniędzy.

Co, czy nie zajmujące czasy? Wogóle—są one podle, a w szczególności ohodne.

W „zajmujących” czasach z polskiego znaku Psa nie można skreślić choćby jednej kroniki bez tego stworzenia. W poprzedniej figurował słynny „Ciepłus”. W tej zaś mała psina, która się przybliżała do pewnej redakcji. Pozostawioną bez opieki zaopiekował się dziennikarz (polski). Krótko mówiąc: ja.

Wiecie, na czym się to skończyło?

Po trzech dniach pobytu w gościny nie u dziennikarza, psina już miała dość i gościny i dziennikarza...

Zwinąwszy ogonek pod siebie, umknęła, przenosząc ulicę i bezdomność nad wygodne życie w domu tego pana, co „pisze do gazety”...

Psie czasy, chociaż — „zajmujące”

Przedruk artykułów i reprodukcja ilustracji bez porozumienia z redakcją — wzbronione.

„PRZEGLĄD LUBELSKO-KRESOWY” DRUKUJE Drukarnia „SZTUKA”

POD ZARZĄDEM RYSZARDA CHMIELEWSKIEGO.

Łamie numer LEON MILARSKI.

Drukuje STANISŁAW BALL.

ADRES DRUKARNI: LUBLIN, KOŚCIUSZKI 8, tel. 360.

# ZWIĄZEK EKONOMICZNY SPÓŁEK ROLNICZYCH WOJEWÓDZTWA LUBELSKIEGO

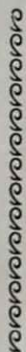
SP. AKC.

LUBLIN, PLAC LITEWSKI 1, TEL. 274 i 294.

Adres telegraficzny: „ZETROL“.

## Kupuje:

bezpośrednio od producentów wszelkie płody i produkty rolne, dając wzamian  
węgiel,  
sól,  
narzędzia rolnicze.



## Sprzedaje:

bezpośrednio młynom i organizacjom spożywców  
zboże,  
mąkę  
oraz wszelkie inne przetwory rolne.

## Organizuje:

handlowe spółki rolnicze po wsiach i miasteczkach dla skupu zboża i płodów rolnych, udzielając im zarazem pomocy finansowej.

Wszystko czyta — widzi — wie  
co się ukazuje w całej prasie krajowej  
i zagranicznej jedyna w Polsce instytucja

# INFORMACJA

## PRASOWA POLSKA

**Biuro wycinków i Agencja Prasowa.**  
wyszukuje, zbiera i dostarcza wiadomości (artykuły, notatki) z gazet i czasopism całego świata o wszelkich sprawach i osobach w wycinkach lub odpisach; udziela porad i pośredniczy w sprawach dotyczących propagandy i reklamy; przyjmuje na dogodnych warunkach redagowanie i przedstawicielstwa czasopism oraz biuletynów informacyjnych i sprawozdawczych; przyjmuje i załatwia PRENUMERATY I OGŁOSZENIA krajowe i zagraniczne sprawnie — szybko — tanio.

Warszawa, Bracka Nr 5 — TELEFON Nr 241-53.

# INFORMACJA

## POWSZECHNA

Przegląd tygodniowy życia społecznego i kulturalnego oraz „GAZETA GAZET“ (Przegląd prasy).  
CO TYDZIEŃ duży arkusz aktualności 16 stron za 40 groszy.

Żądajcie wszędzie czytajcie i polecajcie  
czytać i prenumerować wszystkim.

Prenumerata z przesyłką: miesięcznie . . . zł. 1.75 gr.  
kwartalnie . . . zł. 5.— gr.

Redakcja i administracja: w Warszawie, ul. Bracka Nr 5.  
Telef. 241 — 53, w „Informacji Prasowej Polskiej“.

# „PRZEGLĄD GOSPODARCZY“

organ Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów.

Najpoczytniejsze czasopismo ekonomiczne.

WYCHODZI 2 RAZY NA MIESIĄC.

WARSZAWA, CHMIELNA 2

Konto P. K. O. 5120.

Redakcja — telefon 26-64.

Administracja — telefon 303-96.

Skorzystasz z jednej rady zrobisz użytek z jednej  
wiadomości

jakich jest wiele

W

# „Przeglądzie Przemysłowo-Handlowym“

A OPLĄCI SIĘ PRENUMERATA

Okazowe egzemplarze gratis.

Warszawa, Koszykowa 7, tel. 250-85.

HURT! — HURT!  
Masło deserowe, miód, masło solone  
2 zł. 60 gr. za 1 kg. poleca  
Związek Spółdzielni Mleczarskich i Jajczarskich  
Oddział w Lublinie  
Namiestnikowska 13 27

Wszelkie roboty drukarskie

najtaniej w Lublinie  
solidnie i terminowo

wykonywa

DRUKARNIA „SZTUKA“

ulica Kościuszki 8.

Telefon 360.

OGŁASZAJCIE SIĘ

w „Przeglądzie Lubelsko-Kresowym“

# satyra, aforyzm, humor.

## Ze wschodnich tłumaczeń Remigjusza Kwiatkowskiego.\*)

W więzieniach ludno, choć zamknięte,  
w pagodach pusto, choć rozwarte,  
zjawisko, zda się niepojęte,  
w więzieniach ludno, choć zamknięte.

Próżno bambusem biją w pięcie  
gwałt zawsze czerni dziejów kartę —  
w więzieniach ludno, choć zamknięte,  
w pagodach pusto, choć rozwarte.

\* \* \*

Pieniądze — smar nad smary,  
lepszego dotąd niema,  
czy młody kto, czy stary,  
pieniądze — smar nad smary.

Masz je — chwyć świat za bary,  
a nikt cię nie powstrzyma — —  
pieniądze — smar nad smary,  
lepszego dotąd niema.

\* \* \*

Ślub — radość na dobę,  
a smutek na lata,  
ratuj swą osobę,  
ślub radość na dobę.

Żółć zje ci wątrobę,  
zgorzkniejesz dla świata  
ślub — radość na dobę,  
a smutek na lata.

\* \* \*

Im więcej zakazów w państwie,  
tem oszustwa więcej,  
pełny kielich przy pijaństwie  
każdy nowy zakaz w państwie...

Stąd gałganstwo na gałganstwie,  
złodziejstw sto tysięcy —  
im więcej zakazów w państwie,  
tem oszustwa więcej.

\* \* \*

Gdy herbatę masz i wino,  
przyjaciół ci nie brak,  
w dym pochwały cię spowiną,  
gdy herbatę masz i wino...

Wpółśród cnót twe wady zginą,  
boś pan, a nie żebrak —  
gdy herbatę masz i wino,  
przyjaciół ci nie brak.

\* \* \*

Kiedy noga mała  
i cienka w pęcinie,  
bacz by nie zdeptała,  
choć bardzo mała.

Nieraz to działała,  
z tego bowiem słynie —  
noga bardzo mała  
i cienka w pęcinie.

\* \* \*

Jeśli wejdiesz za parawan,  
czyń, co się podoba,  
nie będziesz bowiem poznawan,  
jeśli wejdiesz za parawan...

Życie ludzkie nie karawan,  
ani smutków doba —  
jeśli wejdiesz za parawan,  
czyń, co się podoba.

## Z karnawału.

W garderobie balu bankowego widzę dyrektora N.,  
jak rozpaczliwie szuka po kieszeniach.

— Panu dyrektorowi brak może drobnych?

— Ah! moja żona dopiero tu, zdjęwszy w garderobie  
futro przekonała się, że przyszła na bal tylko w combinai-  
son. Pojechałem do domu i przywiozłem jej suknię, ale  
nie wiem, w której kieszeni. Pold.

„Szczutek“.

## Niespodziewany rezultat.

Córka: Mamusi! Muszę ci teraz wszystko powie-  
dzieć. Dałam do gazety anonimowy inserat, że zawarę zna-  
jomość z sympatycznym, wesołym panem!

Matka: Czyś ty oszalała? To tak robi panienka z przy-  
zwoitego domu? Powiedz mi zaraz, kto się na anons ten  
zgłosił!

Córka: Tylko jeden — tatko!

(z)

„Szczutek“.

## Post scriptum.

Ona: „Poślij mi natychmiast 300 złotych, muszę ku-  
pić sobie jeszcze jedną suknię. Twoja Lola.

P. S. O mało byłabym zapomniała przesłać Ci całusa“.

On: „Przesyłam Ci całusa.

Twój Zdziś.

P. S. O mało byłbym zapomniiał napisać Ci, że tych  
300 złotych na nową suknię nie posłę Ci. (y)

„Szczutek“.

## On dit.

O znanim i cenionym w świecie naukowym i litera-  
ckim, profesorze Juljuszu Kleinerze, opowiadają sobie cie-  
kawą anegdotę, której autorem ma być sam prof. Kleiner.

—...Wyobraźcie sobie — opowiadał rzekomo prof.  
Kleiner — że myślałem, iż nazwisko moje jest tylko po-  
pularne w Polsce. Tymczasem tak nie jest! I w Berlinie,  
gdzie niedawno byłem, znają mnie doskonale.

Idę sobie właśnie przez Brandenburgische Strasse  
i spotykam jakąś elegancką, choć nieco podmalowaną pa-  
nią. Nie mogę wam opisać swego zdumienia, kiedy z ust  
tej, eleganckiej damy usłyszałem wyraźnie: „Komm Kleiner!“  
„Szczutek“.

Rt.

\*) Niniejsze wierszowane aforyzmy wschodnie w świetnym  
tłumaczeniu znanego poety Remigjusza Kwiatkowskiego, zaczerpnię-  
te z zbiorów: „I nocą nie wychodzi nago“, „Parasol noś przy  
pogodzie“.

**Najtańszy tygodnik  
ilustrowany**

# „Żołnierz Po

pod redakcją ppłk. Artura Oppmana (Or-Ota).  
Pismo poświęcone życiu i służbie naszego żołnierza  
oraz wojennemu przysposobieniu narodu.

Numer pojedynczy kosztuje 25 groszy.

**Prenumerata:** w Warszawie i na prowincji (z dostarczaniem do domu) wynosi miesięcznie 95 gr., dla podoficerów i szeregowych miesięcznie gr. 80. — Prenumeratę przyjmuje Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa Nowy-Swiat Nr. 69, lub urzędy pocztowe na konto Nr. 162 P. K. O.

Biblioteka Uniwersytecka  
M. CURIE-SKŁODOWSKA  
w Lublinie  
OP 12019  
CZASOPISMA

## „Przemysł Chemiczny”

jedynе polskie czasopismo obejmujące całość przemysłu chemicznego,

oficjalny organ przemysłowy „Polskiego Towarzystwa Chemicznego” docierający do wszystkich zorganizowanych chemików polskich

wychodzi

nakładem „Chemicznego Instytutu Badawczego” we Lwowie,  
ul. Leona Sapiehy 3. — Nr. Tel. 450.

Rok wydawnictwa dziewiąty.

Największy i najtańszy  
w Polsce  
ilustrowany tygodnik

## „ILUSTRACJA”

zamieszcza w każdym numerze kilkadziesiąt interesujących zdjęć fotograficznych ze wszystkich dziedzin życia kraju i zagranicy.

Posiada wyłączne przedstawicielstwa największych agencji światowych fotograficznych jak to: Wide World Photos (N. York), Henri Manuel (Paryż), J. Graudenz (Berlin), Atlantic (Berlin).

Wydaje dodatki i numery specjalne: Radiowy, turystyczny, mód, sportowy i t. p.  
Drukuje najnowsze utwory beletrystyczne.

Ilustracja wie wszystko  
i dociera wszędzie.

Adres Administracji i Redakcji:  
Warszawa, ul. Mazowiecka 4.

**Pożar** w każdej chwili zniszczyć może warsztat pracy i wieloletni dorobek przemysłowca, kupca, ziemianina, drobnego rolnika i wogóle każdego obywatela — **Każdy więc interesować się powinien zagadnieniami racjonalnej walki z pożarami**, które omawia jedyne w Polsce pismo.

poświęcone  
pożarnictwu

## „Przegląd pożarniczy”

ilustrowany dwutygodnik. Rok wydawnictwa XI.

Redakcja i administracja: **Warszawa, Al. Jerozolimskie 41, tel. 84 30 i 154-45.**  
ŻĄDANIE NUMERÓW OKAZOWYCH

Adres redakcji i administracji: LUBLIN, KOŚCIUSZKI  
№ 8, tel. 360. — Konto P. K. O. Nr. 100.080.

Cena prenumeraty miesięcznie z dostarczaniem do domu, lub przesyłką pocztową 2.— Zł.

Administracja czynna w dni powszednie od godziny 8-ej rano do 6-ej wieczorem.

CENA OGŁOSZEŃ W ZŁOTYCH:

ROZMIAR:	1/1 str.	1/2 str.	1/4 str.	1/8 str.	1/16 str.
Zwyczajne . . .	200.—	140.—	75.—	40.—	20.—
1-a str. okładki . . .	350.—	180.—	100.—	50.—	25.—
2-a str. okładki . . .	300.—	160.—	90.—	45.—	22.—
4-a str. okładki . . .	300.—	160.—	90.—	45.—	22.—
W tekście . . .	320.—	170.—	95.—	50.—	25.—

Redaktor i dyrektor wydawnictwa: **Franciszek Głowiński.**  
Sekretarz redakcji: **Wacław Gralowski.**

Wydawcy: Dom Wydawniczy Fr. Głowiński i S.ka w Lublinie  
Drukarnia „Sztuka” Lublin, Kościuski 8, telefon 360.